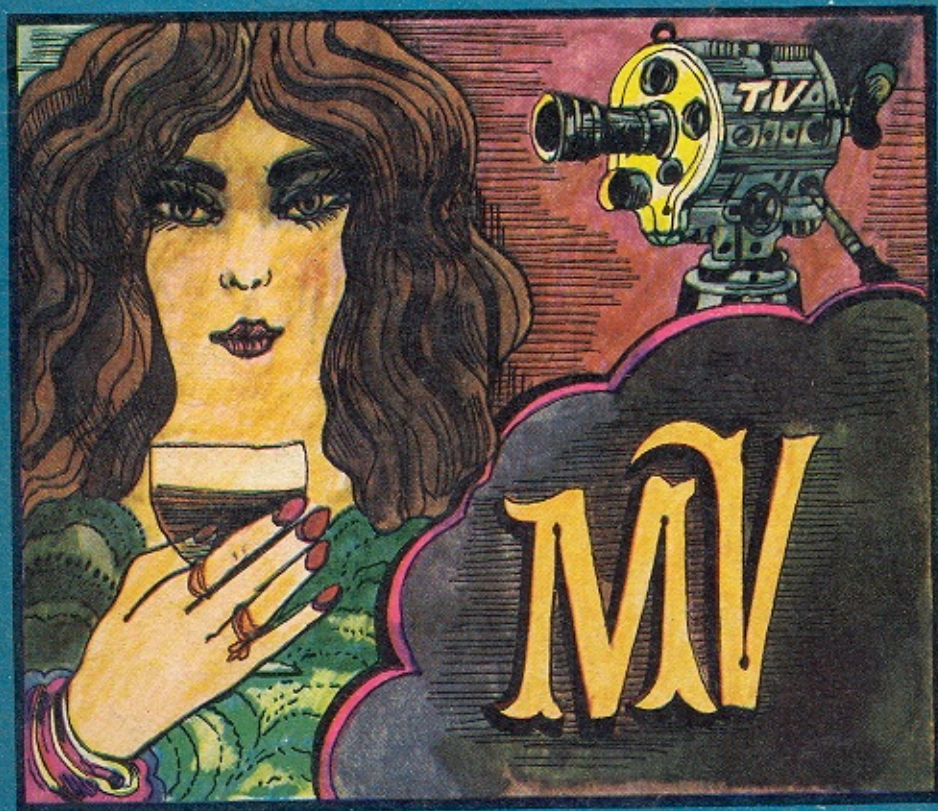


Ewa wzywa 07...



Tadeusz Lembowicz

NESESER MARIII VISCONTI



ISKRY

30 lat Służby Bezpieczeństwa i Milicji Obywatelskiej

Ewa wzywa 07... Ewa wzywa 07...

Tadeusz Lembowicz
NESESER MARIII VISCONTI



ISKRY • WARSZAWA • 1974

Sprawa miała o tyle paskudny charakter, że zamordowana została cudzoziemka, dziennikarka pracująca na kontrakcie w redakcji zagranicznej telewizji. Jeśli chcecie wiedzieć choćby w przybliżeniu, co oznacza taka sprawa, wyobraźcie sobie, że to właśnie ktoś z waszej rodziny wyjechał za granicę i poniósł tam nagłą śmierć. Odległość powiększa rozmiar i tak przecież bezmiernego nieszczęścia, ojczyście władze interweniują, żądając szybkiego zakończenia śledztwa i ukarania winnych, a rodzina i wszyscy bliżsi i dalsi znajomi ofiary myślą sobie: wyjechała tam i została zamordowana. Cóż to za kraj! Jednym słowem — sprawa prestiżowa, ambarasu i zażętu ponad wszelką normę.

Tak właśnie było w tym wypadku. Mieśliśmy na karku przedstawicielstwo konsularne tego państwa, a czujne, nieustannie jego zainteresowanie wynikami dochodzenia przyprawiało mnie o rodzaj uczucia, którego wolałbym raczej nie nazywać. Nie miałem do czynienia z tymi ludźmi osobiście, ale ilekroć szef pytał mnie każdego ranka, co mam mu do zameldowania i gdy informowałem, że postępy śledztwa są niestety niezadowolające — mruzczał pod nosem coś na temat wścibskich Skandynawów. Znaczyło to, że konsul albo któryś z kolegów zamordowanej telefonował dziś do starego. Czułem się, jakby za chwilę mieli mnie przepuścić przez maszynkę do mięsa lub odwołać z zajmowanego stanowiska. Nie wiedziałem, co powinienem wybrać — a właściwie wiedziałem, gdyż moja żona od dawna przekonywała mnie, kim powinienem być w życiu; w żadnym wypadku nie oficerem milicji.

Prężyłem się na baczność i prosiłem o zezwolenie odejścia. Zamykałem z ulgą

drzwi gabinetu szefa. Ale zaraz ogarniał mnie niepokój, czy jutro rano znów nie będę musiał przeżyć tego samego?

W domu także miło mi nie było, gdy Hanka ostentacyjnie udawała, że śpi twardo, kiedy włożyłem do łóżka. Ani jedzenia, ani dobrego słowa. Zostawała służba, to śledztwo i morderca chytry jak sprytny, wprawne w zabijaniu zwierzę, którego ślad zagubiliśmy, gdy z nosem przy ziemi pędziliśmy za nim niczym charty. No, dość porównać. Chciałem dopaść tego człowieka za wszelką cenę.

Prawdę mówiąc nigdy przedtem nie przyszło mi na myśl, że mamy w Polsce instytucję, która propaguje dorobek naszej ojczyzny wśród telewidzów innych narodowości i że do tej pracy kontraktujemy cudzoziemców. Dziennikarze są nam potrzebni, aby przetłumaczyć i dostosować do wymagań swych ziomków teksty, które potem zamieniają się w programy telewizyjne. Nie wiedziałem, to się dowiedziałem. Szkoda jednak, że w tak dziwnych okolicznościach.

A zaczęło się wszystko przed tygodniem, w zimną, listopadową noc, kiedy dzwonek telefonu wyrwał mnie ze snu i kiedy powiedziano mi, że jestem absolutnie niezbędny w budynku, który kilka godzin temu opuściłem. Kompletowano ekipę jak dla wydarzenia o niezwyklej wadze, więc szybko odbiegła mnie senność.

— Kto jeszcze? — pytałem dyżurnego.

— Sprawa kategorii „S“.

Nie przysłali po mnie samochodu, byłoby to działanie irracjonalne, ponieważ jechać do komendy sto metrów — bo w takiej odległości mieszkalem — mógłby tylko Ktoś, Kto Jest Bardzo Ważny, i to

tylko wówczas, gdyby miał niedowład w nogach.

Był brudny i nieżyczliwy ludziom moment schyłku nocy tuż przed świtem, którego światło grzęźnie w dżdżystej, zimnej, gnanej wiatrem mgle. W oknie na czwartym piętrze domu numer 244 przy ulicy Dobromila jaśniało światło. Technicy zaczęli pracować, jeszcze nim zdaliśmy dojechać na miejsce. Sierżant z komendy dzielnicowej informował nas, że w tej klatce schodowej mieszkali sami swoi, artyści, pisarze, plastycy. Taka artystyczna kolonia. Znali się jak tyse konie, wiedzieli o sobie wszystko.

— Musieli się nie lubić — powiedział.

— Jak to? — zdziwiłem się naiwnie.

— Kiedy spotyka się znajomą gębę na co dzień, można zniecierliwić nawet przyjaciół — odparł nieco filozoficznie. Miał rację. To się potem okazało.

W mieszkaniu Marii Visconti, Szwedki o włoskim nazwisku, połykiwały flesze. Zaczekaliśmy, aż technicy skończyli robotę. Przyjrzałem się tej kobiecie. Leżała na tapczanie, otwarte oczy — czarne, duże — nic już nie wyrażały.

— Dlaczego jest okryta narzutą? — zapytałem.

— Nie wiemy, tak już było, kiedy przyszliliśmy, obywatelu kapitanie. Pewnie ktoś podniósł ją z ziemi i położył na tapczanie.

— Morderca? Co?

— Być może.

— Jak zginęła?

— Najprawdopodobniej uderzenie w tył czaszki. Na podłodze w korytarzu leżała torebka. Taka, jaką nosi się przez ramię.

— Torebka? Czyja?

— Jej własna torebka, obywatelu kapitanie. Są w niej dokumenty. Narzędzia zbrodni nie znaleźliśmy.

Czego się spodziewałem? To musiała być jej torebka. Gdyby nie należała do Marii Visconti, wówczas musiałaby należeć do mordercy, to znaczy do morderczynie, jasne? Jednakże wszystko wskazywało na to, że Szwedka zginęła w walce — zadrapania skóry, przesunięty dywan, przewrócone krzesło. Więc raczej mężczyzna. Tylko dlaczego potem ułożył nieżywą

na tapczanie? Czyżby zaczął odczuwać skrępy?

— Jest rozebrana, ma na sobie beżowe rajstopy, nie zdjęła sweterka, biały, lekko przybrudzony.

— A gdzie spódnica?

— Nie wiadomo. Nie znaleźliśmy nigdzie.

— Czy zginęło coś jeszcze?

— To się dopiero ustali. Na razie nic na to nie wskazuje.

Wszystko, co było dotąd wiadome, niczego nam jeszcze nie wyjaśniało. Raczej gmatwało. Bo choćby — co ze spódnicą? Zabrał ktoś na pamiątkę? A może Szwedka zostawiła ją u kogoś? Tę frywolną myśl odrzuciłem jako niestosowną do okoliczności. Na stole w pokoju Marii Visconti stała jeszcze pusta butelka po Budafoku i sześć kieliszków. Nie takie rzeczy robi się na rauszu; rany boskie, gdybym mógł wam opowiedzieć, co wiem na ten temat... Ale przemilczę.

Patrzyłem na tę kobietę; zginęła bez sensu, w okrutny sposób. Morderca musi ponieść karę, odtąd stał się moim osobistym przeciwnikiem.

Czułem się głupio — zawsze, ilekroć rozpoczynałem śledztwo, nie mogłem pozbyć się uczucia gniewu, jaki budził we mnie każdy sprawca mordu. I zawsze było mi żal ofiary. Nie nadawałem się na milicjanta. Powinienem bowiem, jak chirurg, zachować obojętność, jak on widzieć jedynie problemy do rozwiązania. Chirurgi mówią: „Zrobiłem dziś pięć wyrostków, trzy wrzody żołądka, dwa złamania“, jakby nie o chorego człowieka chodziło, tylko o wyobcowany, niezależny element, który usuwali lub naprawiali w organizmie ludzkim. Oficer śledczy nie powinien roztkliwiać się — przypomniałem sobie prawdę, która wydawała się oczywista dla każdego z mych kolegów, ale której nigdy nie umiałem zastosować do siebie. Patrzyłem na tę kobietę, którą ktoś podniósł z podłogi, ułożył na tapczanie i troskliwie okrył. Żaloszne, zimne, rozchylone wargi. Przecież mogła żyć, pokochać kogoś, pójść nazajutrz do pracy, cieszyć się pogodą albo pokłócić z koleżanką. Wszystko, co żywi ludzie robią, byłoby także jej udziałem,

gdyby nie to, co zaszło w jej mieszkaniu i czego nie da się już odwrócić.

— Co dalej? — zapytał mnie sierżant.

— Róbcie swoje — odparłem szorstko, ponieważ człowiek ten wyrwał mnie nagle z zamyslenia.

Wszystko toczyło się zwykłym trybem. Technicy zakończyli pracę, fotografowie zrobili, co do nich należało, wreszcie nadjechała sanitarka. Maria Visconti po raz ostatni opuściła progi swego domu. Pomyślałem, że sprawa nie będzie łatwa. Muszę pracować do siódmych potów, ale wiedziałem, że jak zwykle czyniłem to będąc nie tylko dlatego, iż taki dostałem rozkaz. Moja żona nie mogła mnie pojąć do dziś, dawni koledzy wzruszali ramionami, gdy im odpowiadałem na to pytanie. Ale ja naprawdę zostałem milicjantem, aby ścigać zło. I tylko dlatego.

2

Historia owego wieczoru, który był ostatni w życiu Marii Visconti, układa się powoli w dość zwartą całość. Sąsiadka z przeciwka, a także mieszkający niżej malarz zgodnie zeznali, że — sądząc po hałasach — piękna Szwedka obchodziła jakąś uroczystość. Przyjęcie czy też przypadkowe spotkanie towarzyskie zaczęło się jednak dość późno, jak to łagodnie określiła aktorka z *vis à vis*.

— Kiedy? — zapytałem.

— Chyba około północy.

— Nie myli się pani? — zdziwiłem się, gdyż ta pora w żaden sposób nie kojarzyła mi się z imieninami czy urodzinami, a to właśnie przyszło mi na myśl, gdy usłyszałem z ust aktorki owo określenie: uroczystość.

— Nie, proszę pana. Z teatru wracam około jedenastej i nigdy nie kładę się przed północą. Po prostu nie zdążę — wyjaśniała rzeczowo, jakby to mogło mnie interesować.

— Rozumiem. Czy nie orientuje się pani, kto był gościem pani Visconti? — zapytałem na wszelki wypadek, wiedząc i tak, że odpowiedź niczego nie wyjaśni.

— Nie podglądam sąsiadów — odparła z godnością.

— Oczywiście — skinąłem głową. — A szkoda — dodałem ciszej.

— Słucham?

— Nic takiego, przepraszam, po prostu tak mi się powiedziało...

Popatrzyła na mnie uważnie, ale nie zareagowała, wydawało mi się nawet, jakby uśmiechnęła się lekko, przez ułamek sekundy. To przywróciło mi równowagę.

— Czy jednak nic pani nie słyszała? — zapytałem.

— Trudno było nie słyszeć — uśmiechnęła się tym razem wyraźnie i było jej z tym do twarzy. — Tańczyli, popijali, głośna muzyka z płyt albo z magnetofonu. No a potem chyba trochę ostrzych słów. Co, kto i jak, tego nie wiem. Ale sądzę, że odbyła się tam kłótnia.

— Na czym opiera pani to przypuszczenie?

— Gdy muzyka przestała grać, zaczęły do mnie dolatywać jakieś krzyki i zaraz wszystko się skończyło. Sądzę, że tę wrzawę — powiedziała tak właśnie: wrzawę — usłyszałem, gdy otwierali drzwi na klatkę schodową. A więc kiedy zabawa dobiegała końca. Dochodziła chyba druga w nocy.

— To słyszała pani wtedy, gdy drzwi na klatkę schodową były otwarte?

— Tak sądzę, panie kapitanie.

— Drzwi od mieszkania Marii Visconti czy drzwi, które pani sama uchylila?

— Powiedziałem już, że nie podsłuchiwałam! — Aktorka wróciła do poprzedniego, surowego, na wpół obrażonego tonu. — Czy jestem jeszcze panu kapitanowi potrzebna?

— Tylko jedno pytanie. Jak ubierała się Maria Visconti?

— Wedle najświeższej mody.

— Spodnie czy spódnica?

— Spódnica i spodnie.

Pożegnałem czym prędzej moją rozmówczynię i poprosiłem, aby wprowadzono plastyka z parteru.

— Cholerna babka — mówił nie licząc się z tym, że jego słowa dotyczą osoby już nieżyjącej. — Miała temperament. Lubiała się zabawić, pan wie?

— Brał pan w tym udział? — zapytałem niewinnie.

— W czym? — odparował.

— No w tym, co pan nazywa zabawianiem się.

— Kiedy? — zapytał rzeczowo. — Bo wtedy, to właśnie nie. Przedtem kilka razy tak. Ostatecznie jestem kawalerem. A ona także była wolna.

— Jasne.

— Wypadłem z jej towarzystwa, odkąd spotkałem Iwonę. Ale to pana nie interesuje, pan wie?

— Dlaczego nie? Zawsze, kiedy człowiek staje się szczęśliwy...

— Dobra, dobra — przerwał mi dość brutalnie. — Moja sprawa, nie pańska.

— A co, Iwona już odfrunęła?

— Takie życie — wzruszył ramionami. — Nie będzie ta, to będzie inna.

— Więc nic pan więcej nie wie? — przerwałem tym razem ja, protokolant bowiem zaczął spoglądać na mnie z coraz większym zdziwieniem. Pracowałem z nim po raz pierwszy, widać nie zdążyli mu powiedzieć, jaki jestem.

— Nie. Niech pan szuka między jej kumplami. I ten studenciak też mógłby pana zainteresować. Zagranicznik, jak ona.

— Kogo ma pan na myśli? Proszę mówić konkretnie.

— Mieszka dwa piętra wyżej. Tato płaci, syn udaje, że studiuje.

Zapisałem nazwisko. Fin, przyszły polonista. Interesujące.

— Pan go nie lubi? — zapytałem.

— Ani mnie ziębi, ani parzy.

— Wobec tego dlaczego pan go wymieniał?

— Bo gość oczu z niej nie spuszczał. Kiedy zdenerwował ją tym swoim ciętym zachwytem i dała mu to do zrozumienia, pił ze mną przez kilka dni z rzędu.

— Dlaczego z panem?

— Kiedyś wracał, był tak zalany, że piętra mu się pomyliły. I został, bo ja mam dobre serce i okazałem zrozumienie.

— A czy tamtej nocy, pan wie — wpadłem w jego styl — nie słyszał pan, co działo się w mieszkaniu pani Visconti?

— Zabawę, owszem, słyszałem. Ale byłem zmęczony, więc jak szybko się obudziłem, tak szybko zasnąłem. U mnie tak zawsze raz, dwa. Nie mam czasu na figle-migle.

— Więc żadnych symptomów walki ani nic takiego, co mogło być odgłosem upadku ciała denatki?

— Nie.

— I nic nie ma pan do dodania?

— Powiedziałem wszystko, to jasne.

— Teraz jasne. Dziękuję panu. Do widzenia.

— Wolę, aby pan powiedział — żegnaj, pan wie?

— Tego nie zrobię. Bo może jednak będziemy musieli się spotkać?

— Dobra, dobra — mruknął i wyszedł. Przypominał małego misia koala, który za wszelką cenę chce być niedźwiedziem brunatnym, dużym, groźnym, silnym. Artystą był miernym ten plastyk, tyle już o nim wiedziałem.

Następny zjawił się student. Wpisałem go już przedtem na moją listę, plastyk tylko potwierdził to, czego dowiedzieliśmy się od koleżanek Marii. Blady, wyraźnie przygnębiony. Po polsku mówił niezłe. Jego ojciec miał fabrykę papieru, zawarł długoletni kontrakt handlowy z Polską, chciał, aby syn dobrze poznał kraj, język, ludzi, z którymi miał związać swe interesy. Słuchałem słów chłopca, nie przerywając. Historia tej miłości była prosta i zarazem żałosna. Marię zobaczył po raz pierwszy na schodach. Mieszkali w tym samym domu, on w pokoju odnajętym u wdowy po dziennikarzu, która w ten sposób uzupełniała swój budżet.

— Kocham ją — mówił tak, jakby Maria żyła nadal. — Chciałem się z nią ożenić.

Pierwsza rozmowa miała charakter przypadkowy. Z akcentu poznał, że nie jest Polką, tym większe wrażenie wywarł na nim fakt, iż piękna kobieta okazała się Szwedką.

— To było tak, jakbym spotkał kogoś z bliskiej rodziny — mówił powoli, z trudem, ale poprawną polszczyzną. — Maria jest piękna. Prawda?

Milczałem. Nie chciałem przypominać chłopakowi, że musi mówić o niej w czasie przeszłym i że nie ma na to rady.

— A potem spotykaliśmy się — powiedział po prostu. — I tak przez rok. Nagle wszystko się zepsuło.

— Nie rozumiem?

— Pojawił się ktoś inny. Kolega z jej redakcji. A później była znowu sama. Ale nie chciała powrócić do mnie. Wolą, abyśmy pozostali tylko przyjaciółmi. To znaczy ona uważała mnie za przyjaciela.

— A pan?

Przez chwilę milczał. Widać było, że waha się, nim wyznał:

— Kocham ją.

Stale mówił o Marii, jak gdyby żyła. Ciekawe, do czego może człowieka popchnąć silne uczucie, gdy kobieta je odrzuca?

— To wszystko? — zapytałem, notując w pamięci, że sprawę tego chłopca trzeba dokładnie przemyśleć.

Odszedł, lekko przygarbiony. Ciagle nie zdawał sobie sprawy z tego, że Marii Visconti już nigdy w życiu nie spotka. Nie rozumiał, że ta kobieta nie mogła albo nie chciała wiązać się na stałe z nim, zbyt młodym, aby traktować go poważnie. Czy Fin był przygnębiony, czy też tylko grał tę rolę, tak przylegającą do jego chłopięcego wyglądu, drobnej, sympatycznej twarzy?

Nie należy wykluczać tego, że właśnie student był mordercą Marii Visconti. Odrzucona miłość mogła go pchnąć do zbrodni.

3

Szczegóły owego wieczoru wyglądały następująco. Tego dnia obchodzono urodziny Joanny, koleżanki Marii, a zarazem jej sąsiadki, mieszkającej o piętro wyżej. Solenizantka, Maria i trzech kolegów z telewizji zagranicznej, z którymi przyjaźniły się, pracowały i wspólnie niekiedy spędzały czas, pojechali do kawiarni. Samochód prowadził redaktor Majewski, on też — jak zeznał — wzbraniał się pić cokolwiek prócz kawy. Było to późnym

popołudniem. Czas szybko mijał, zrobił się wieczór. Wszyscy prócz Majewskiego byli już na lekkim rauszu. Joanna, solenizantka, zaproponowała kolację w „Continentalu“. Majewski zgodził się ich tam zawięzić. Złe się czuł, gdyż nie chciał pić, a towarzystwo było coraz weselsze, wreszcie uległ.

— Ale swoje volvo zostawiłem pod „Continentalem“ — zapewniał, jakby to było najważniejsze w całej sprawie.

— Bardzo dobrze — pochwaliłem. — I co dalej?

— Normalka. Bo widzi pan, ja byłem bez pary.

— No więc?

— Wyszedłem do hallu i tam spotkałem dziewczynę. Zaprosiłem ją do towarzystwa.

— Znajomą?

— Nie... — odparł po chwili wahania. — Pan wie, tak to bywa...

— Za ile?

— Ale co też pan, panie kapitanie...

— Rozumiem. Więc jak było dalej?

Po kolacji, która zakończyła się dość późno, towarzystwo postanowiło jechać do Joanny. Joanna — już mówiłem — mieszka o piętro wyżej niż Maria.

Okazało się, że nie miała w domu nic do picia i jedzenia, więc ostatecznie to Maria zaprosiła ich wszystkich do siebie. Miała butelkę Budafoku.

— Jak przyjechaliście?

— Taksówką, panie kapitanie — z naskissem powiedział Majewski.

— Rozumiem.

— Długo tam nie byliśmy, może godzinę lub dwie. Potem ja poszedłem do domu, Joanna do siebie.

— A reszta?

— Nie pilnowałem ich — odparł oburzony Majewski. — Ostatecznie oni nie są dziećmi, a ja niania.

— I nikim nie opiekował się pan tej nocy? — zapytałem pewien, że dziennikarz, o ile się znam na ludziach, nie darmo zorganizował sobie tę trzecią.

— Nie.

— A dziewczyna?

— Nie udało się. Nie chciała ze mną iść. Została u Marii. Miała tam przenocować.

— Nie rozumiem. Nie była z Warszawy?

— Przejedna. Nawet wyglądała porządnie. Taki kurczak, któremu zdaje się, że już ma skrzydła do lotu. A tymczasem tylko podskakuje, zamiast lecieć.

Majewski mówił o dziewczynie z pewną goryczą. Wierzyłem, że nie udało mu się namówić jej na wspólny spacer i tę resztę. Ale kim była? I dlaczego znikła jak kamfora?

Przebiegłem wszystko w myślach. Maria Visconti została odnaleziona następnej nocy po owym urodzinowym wieczorze. Może zabito ją rankiem, może nawet zaraz po rozejściu się gości? Ale wówczas byłaby jeszcze w domu ta dziewczyna. Więc chyba rano. Gdyby jednak założyć, że morderstwa dokonała właśnie ona? Nonsens. Majewski nazwał ją kurczakiem.

— Była drobnej budowy?

— Słaba. Chuchro.

A więc nie ona. Założmy zatem, że Majewski, zawiedziony w swoich nadziejach, zaczekał, aż wszyscy opuszczą mieszkanie Marii i wówczas powrócił tam, aby — wykorzystując sytuację i stan gospodyni — zdobyć jej względy. Kobieta nie chce się zgodzić, broni się, pada. Majewski, podniecony alkoholem i oporem, dokonuje morderstwa. Nagle uświadamia sobie, co zrobił, więc ucieka. Tylko dlaczego zabiera spódnicę? I co powodowało nim, gdy ukladał kobietę na tapczanie?

— Co miała na sobie Maria Visconti? — zapytałem.

— Nie pamiętam. Jakiś pulowerek i chyba spódnice. A może spódnicę?

— Czy łączyły pana bliższe stosunki z Marią Visconti?

— Nie — odparł stanowczo.

— Nic pan nie ma do dodania?

— Nic.

— Dziękuję. Jest pan wolny.

Redaktor Majewski został wpisany na listę podejrzanych. Nie było bowiem dowodów na to, że owa dziewczyna z „Continentalu” rzeczywiście do rana została z Marią. Mogła wyjść od niej. I wówczas moja hipoteza o roli Majewskiego w tej zbrodni nabierała cech prawdopodobieństwa.

Dwaj pozostali koledzy zamordowanej potwierdzili wszystko, co zeznał Majewski. Różnili się tylko w jednym szczególe. Twierdzili mianowicie, że jeździli wszędzie jego wozem, nie taksówką.

— Nie baliście się? — zapytałem.

— W tym stanie? — burknął inżynier Ryłski, lekko zażenowany.

A więc skoro Majewski kłamał w sprawie samochodu, mógł kłamać i w innych. Oczywiście przyznawać się oficerowi w czasie śledztwa, że prowadził samochód po pijanemu, nie chciał ze strachu. To go niby tłumaczyło. Ale mógł również użyć kłamstwa jako tarczy w obronie przed zarzutem dokonania morderstwa na Marii Visconti. Wyglądał, jakby to powiedzieć, normalnie, ale iluż widziałem już ludzi, którzy mogliby uchodzić za symbol niewinności i skromności, a byli aferzystami albo zbrodniarzami? Zbrodnia nie ma innej twarzy prócz twarzy człowieka. I dlatego nie wolno sądzić z pozorów. Decydujące są fakty.

Inżynier Ryłski wyjaśnił, że młoda dziewczyna rzeczywiście pozostała w mieszkaniu Marii. Technik Zawadzki poszedł pierwszy do domu, bo bał się trochę żony, zresztą nastrój popsuł się, Maria zaczęła po pijanemu żalić się nad swym losem.

— Czy może to pan bliżej określić?

— Ano, że nikt jej nie kocha, że tylko jakiś fiński szczeniak, ale ona jest dla niego za stara.

— Wiem, o kogo chodzi.

— No właśnie. I że nie chce nas znać. Pan rozumie, nagle takie wyznanie, musieliśmy na to zareagować.

— W jaki sposób?

— Wyszliśmy.

— Bez słowa?

— No, redaktor Majewski powiedział, że gorszego wieczoru i takiej czarownicy nie widział, jak długo żyje.

— A co łączyło go z Marią Visconti?

— Kiedyś chyba coś między nimi było. Teraz nie.

Więc to tak — myślałem. Pytałem przecież o to Majewskiego i nic mi nie powiedział. Trzeba do tego wrócić.

— A pan, panie inżynierze?

— Ja? Nie rozumiem.

— Pan wie... — przeciągnąłem ostatnie słowo porozumiewawczo.

— Ach tak... Więc, jakby to powiedzieć, byłem już niegdyś w tamtym mieszkaniu, w domu Marii. Sam — dodał po sekundzie. — Jestem tylko mężczyzną. Ona jest piękna. Była piękna — dodał. Zachowywał się bardziej przytomnie niż ten student.

— Rozstaliście się w gniewie?

— Kiedy? — odparł pytaniem na pytanie. Doprawdy okazał się niezwykle bystry.

— Kiedy pan chce...

— No więc wówczas nie — poprawił się na krześle. — Tamto zdarzyło się tylko raz i oczywiście więcej do tej kwestii nie wracaliśmy. Taka koleżeńska sprawa — uśmiechnął się, a ja pomyślałem, że chętnie przytarłbym mu rogów, był zbyt pewny siebie.

— A potem? — rzuciłem. — Potem, gdy pokłóciliście się owego urodzinowego wieczoru, co się wówczas stało?

— Ja się nie kłóciłem — zachowywał godność. — Zabrałem Joannę i wyszliśmy. Maria była niemożliwa. Joannę dotknęła do żywego mówiąc, że jest zwykłą dziewczynką.

— To chyba taka normalna sprzeczką między przyjaciółkami?

— Oczywiście! Joanna nawet się zbytnio nie oburzyła. To wspaniała kobieta!

— Przekonał się pan o tym?

— Pan mnie niewłaściwie zrozumiał — obruszył się inżynier, ale zaraz potem wyraźnie zmiekl. Zapewne szybko wykalułowal sobie, że opłaci mu się wyznać prawdę. — Pan kapitan ma rację. Przekonałem się. Wyszedłem od niej dopiero rano. Poszliśmy razem z Joanną od razu do pracy.

— O której państwo opuścili Marię Visconti?

— Była chyba druga godzina albo coś koło tego.

— A czy nic już nie słyszeliście tej nocy? Może jakiś krzyk albo odgłos upadku? Przecież byliście tuż nad jej mieszkaniem,

— Nie, panie kapitanie — odparł stanowczo inżynier Rylski. — Nic sobie nie przypominam. Spałem jak zabity — uśmiechnął się przepaszająco, ale natychmiast spowaźniał, gdy skojarzył sobie porównanie z tym, co się wówczas stało. — To znaczy spałem jak kamień — poprawił się.

— Czy Maria nie zachowywała się hałaśliwie, gdy wychodziliście od niej? Zdaje się, że krzyczała na Joannę. Sam pan mówił.

— Być może. Ale ja byłem zajęty przede wszystkim Joanną i chciałem, aby jak najszybciej o tamtym zapomniała.

— Dziękuję. To wszystko. Do widzenia. Spryciarz, zapewnił sobie alibi. Jeśli jest tak, jak mówi, wszystko w porządku. Ale gdyby było inaczej? Gdyby obrażona ambicją jednorazowego kochanka, wzburzona alkoholem, popchnęła go do zemsty? Przecież mógł zamordować Marię podczas snu Joanny, a potem wrócić do jej łóżka. Tak czy owak ma alibi. Zanim nie udowodnię mu jego winy, inżynier Rylski może się czuć bezpieczny. Ale z listy podejrzanych go nie skreślę.

Technik nagrań, Zawadzki, wydawał się najczystszy. Od razu przyznał się, że Maria podobała mu się, że nawet próbował ją o tym przekonać, ale ona śmiała się z niego.

— Powiedziała, że jak jej będę potrzebny, to na blankiecie wypisze na mnie jak na nagranie zamówienie do inżyniera — zeznawał z goryczą. — Ale miała rację, nie powinienem myśleć o takich sprawach. Mam żonę i troje dzieci.

— Bardzo to piękne, co pan mówi — uśmiechnąłem się. — Ale dlaczego mimo to był pan jednym z uczestników tego wieczoru?

— Joanna mnie zaprosiła — wyjaśnił po prostu. — Znamy się od dziecka. Jesteśmy z jednego domu, z Pragi. Teraz go już nie ma.

— I jak zakończył się ten wieczór?

— Kiedy Maria zrobiła tę awanturę,

wyszedłem. Miałem wszystkiego dość. Inżynier dostał kosza od Marii, zaczął więc przystawiać się do Joasi, redaktor Majewski miał głowę zajętą tamtą dziewczyną, pan wie, więc dla mnie została tylko Visconti. A ona miała mnie w pogardzie. No i zaczęła się wygłupiać. A poza tym żona czekała. To wszystko.

— I często żona czeka tak na pana? — nie mogłem powstrzymać się od złośliwości. Typ wyraźnie mi się nie podobał. Cwaniaczek, który nie przepuści żadnej okazji, byle była darmowa.

— Pan kapitan żartuje. Do domu często wracam późno, taka praca, nagrania w nocy.

— No, to do widzenia, panie Zawadzki.

I on także miałby powód, aby rozprawić się z Marią. Odrzuciła jego zaloty. Może kpiła z niego przy innych? A czy mężczyzna tak łatwo potrafi o tym zapomnieć?

5

Tak więc przesłuchałem wszystkich uczestników urodzinowej libacji prócz Joanny i tej małej, którą Majewski poderwał w „Continentalu“. Kelnerzy i portier nie umieli nic powiedzieć na jej temat. Nie pojawiła się tam więcej, była tylko raz, właśnie tamtego wieczoru. Prawdopodobnie dziewczyna trafiła do hallu „Continentalu“ po raz pierwszy w życiu albo była po prostu przyjezdną, która zjawiła się w Warszawie „na występ“. A taką trudno będzie odnaleźć, jest za sprytna, aby zostać w stolicy, jeśli to ona dokonała morderstwa. A gdyby była niewinna i nie należała do „fachu“, jednorazowa przygoda podczas wyjazdu do naszej metropolii nie pozostawiła przecież nigdzie żadnego śladu.

Na wszelki jednak wypadek nakazałem penetrację określonych środowisk i wyjaśnienie, czy nie pojawiła się tam jakaś „nowa“. Niestety, trzeba było czekać na wyniki. Przyjąłem więc hipotezę, że to dziewczyna spoza naszego miasta. Brakowało mi jej do kompletu świadków. Głupio pisać: „oraz osoba nieznana, kobieta

lat około osiemnastu...“ Taki raport to jak dziurawy most. Nieładny. No, ale cóż poradzę. Machina działała, musiałem dobrze się napracować, aby wyjaśnić, co naprawdę robiły i jak się zachowywały wszystkie znane mi postacie owego wieczoru. Przede wszystkim zaś musiałem poznać dokładnie życie samej Marii Visconti, aby zrozumieć przyczynę zbrodni, znaleźć jej źródła. Byłem bowiem przekonany, że tylko tą drogą dojdę do prawdy. Pracowałem szybko, nie czekając na wyniki ekspertyz i analiz, choć ich nie lekceważyłem. Wydawało mi się, że one mogą mi tylko dopomóc, zaś prawda leży gdzieś głębiej niż na powierzchni materialnych przedmiotów. Liczyłem na to, że w kręgu znajomych Marii, przygniecionych potwornością tego wydarzenia, znajdę kogoś, kto powie mi to jedno jedyne zdanie, które będzie początkiem śladu, wiodącego tam, gdzie w ukryciu czeka na mnie morderca kobiety. Dziewczyny szukano więc nadal dla zasady, aby mieć ją do kompletu. Czyniono to szybko, gdyż wraz z upływem czasu szansa jej odnalezienia malała.

6

Joanna Enertycka nie wyróżniała się niczym specjalnym. Była kobietą średnio przystojną, średnio inteligentną, średnio sprytną. Dlatego nie umiała ukryć ani przerażenia, że mógłbym ją podejrzewać o związek ze śmiercią Marii, ani też lęku o to, by nie powiedzieć czegoś zbędnego. Nie umiała się maskować, tak jak nie zdołała gładkimi słowami zasłonić niechęci, jaką żywiła do pięknej Szwedki. Długo musiałem prowadzić rozmowę, nim uświadomiłem sobie, iż Joanna zazdrościła zmarłej nie tylko jej powodzenia u mężczyzn, lecz także tego, że tamta jako cudzoziemka mogła w każdej chwili wyjechać w świat. Joanna widziała w niej uosobienie tych możliwości, jakich sama nie miała: ani dostatecznej ilości pieniędzy, ani szansy ich zdobycia, aby kupować drogie bilety na orbisowskie wycieczki do Francji, Włoch czy Grecji. Pani redaktor

Enertycka, nie należąc do najwybitniejszych dziennikarzy, nie miała okazji wyjazdów służbowych częstszych niż raz na kilka lat. Tymczasem od dziecka pragnęła podróżować. Miała zamiar studiować geografii, marzyła o pracy związanej z dalekimi wyjazdami w świat. Została studentką na wydziale dziennikarskim, potem podjęła pracę w radio, obecnie w telewizji. Przygotowuje materiały i redaguje teksty do programów. Jest na ogół w cieniu tych największych, którzy prowadzą swoje autorskie cykle albo reżyserują. Od tego można dostać kompleksów, jeśli miało się jakieś większe ambicje, żywe nadzieje, których nie udało się spełnić.

— Teraz często jeżdżę do NRD — pochwaliła się i to mnie ujęło. Joanna wydała mi się bardziej sympatyczna i ludzka. — Bo gdy granica jest dla nas otwarta, świat jakby poszerzył się dla mnie.

— Rozumiem panią. A jaka była Maria? — Już panu mówiłam.

— Chyba nie wszystko. Bo ciągle nie rozumiem, dlaczego ktoś mógł ją zamordować?

— Była bezwzględna — odparła po chwili wahania przyjaciółka nieżyjącej. — Kiedy ktoś jej się spodobał, musiała go zdobyć. A potem rzucała go i szukała kogoś nowego.

— A może szukała prawdziwej miłości? Zdaje się, że coś takiego mówiła właśnie podczas owej kłótni.

— Tak. To prawda — przyznała Joanna po chwili namysłu. — Mówiła coś takiego. Czuli, że życie ucieka... — przerwała na moment, przerażona, że mogę skojarzyć jej słowa z owym tragicznym wydarzeniem. — Chciałam powiedzieć, że była już niemłoda, więc tęskniła do kogoś, kto mógłby być dla niej oparciem.

— Każdy chce założyć rodzinę — wtrąciłem, aby ją ośmielić do mówienia. — Maria Visconti, zdaje się, nie miała szczęścia...

— Pierwszy mąż ją porzucił. Dlatego wyjechała ze swego kraju. Może myślała, że tutaj znajdzie kogoś odpowiedniego...

— I nie znalazła?

— Szukała, chyba nawet zbyt natarczywie — odparła ze złośliwością Joanna.

— A znalazła tylko tego studenta z Finlandii. On ją naprawdę kochał.

Znów ten student. Jego postać wracała stale, jak cień towarzyszyła Marii Visconti. Wiedziałem, od kiedy, nie wiedziałem jeszcze jak długo i czy do samego końca. Ale dowiem się.

— Dlaczego pani sądzi, że kochał ją naprawdę?

— Maria sama mówiła. Chwaliła się. Wtedy, gdy była pijana, płakała i krzyczała, że przyjdzie do niej, kiedy tylko go wezwie, że jest na każde jej zawołanie. A potem usiadła na podłodze i wtuliwszy głowę między ramiona, kołysała się i płakała, kołysała się i powtarzała jego imię.

— Eryk?

— Eryk.

— Więc może i ona go kochała?

— Nie wiem. Chyba nie. Mało to mówi się po pijanemu?

— Rozumiem.

Przez chwilę milczałem, patrząc uważnie w twarz redaktor Enertyckiej. Czy podsuwała mi podejrzanego, aby ochronić innego człowieka?

— A co pani robiła po opuszczeniu domu Marii Visconti? — rzuciłem pytanie, nie dając po sobie poznać, iż wiem, w czym towarzystwie spędziła czas aż do chwili, gdy znaleźli zwłoki przyjaciółki. Musiałem o to zapytać. Joanna była opamiętana, ale tym razem zmieniła się na twarzy.

— Czy muszę odpowiadać?

— Leży to w pani interesie.

Opuściwszy głowę wyznała to, co już i tak wiedziałem. Protokolant zapisywał zeznanie, ja starałem się nie patrzeć na tę kobietę.

— Czy pani nie słyszała nic podejrzanego? — spytałem jeszcze dla porządku.

— Gdybym słyszała, zareagowałabym jakoś. — Wydawała się zakłopotana, nie wiedziała, czy mówi dobrze, czy może powinna raczej milczeć. — Ostatecznie Maria była moją przyjaciółką.

— Dziękuję pani. Jeszcze tylko jedno pytanie. Co pani Visconti miała na sobie owego wieczoru?

— Czarne, poszerzane spodnie, takie błyszczące... I białą elastyczną bluzeczkę.

Przesłuchanie Joanny Enertyckiej zakończyłem. Było długie, bezładne, ale pod warstwą słów dostrzegałem złoża niechęci, zazdrości, niezyczliwości. Tak wygląda przyjaźń pomiędzy kobietami? Mój Boże, chroń nas przed przyjaźnią kobiet. Ale chyba taka ona nie jest, o ileż bowiem więcej musiałoby być kobiecych porachunków, morderstw, zbrodni na tym smutnym, wcale nie tak szczęśliwym świecie? A jednak nie zdarzają się zbyt często. Dobre i to.

II

1

Nie powiedziałem dotąd, kto i w jaki sposób odkrył zbrodnię. Otóż Joanna Enertycka i inżynier Ryłski, obrażeni zachowaniem Marii, przez cały dzień nie interesowali się jej osobą ani tym, czy wyszła w ogóle z domu i dlaczego nie ma jej w pracy. Ostatecznie to było zrozumiałe. Po południu wczorajsza solenizantka odwiedziła z kolei inżynierską kawalerkę. Wieczorem, gdy Joanna miała wracać do domu, postanowiła zatelefonować do Marii. Było, nie było — sprawa minęła i nie warto nad nią zbytnio rozmyślać. Ostatecznie nieraz w życiu ludzie się pokłócą, a czy muszą przez całe wieki o tym pamiętać?

Gdy telefon redaktor Visconti wciąż milczał, postanowili razem z inżynierem, który odprowadzał przyjaciółkę do domu, że wstąpią do Marii. Długo dźwięczał dzwonek, wreszcie Joanna odruchowo nacisnęła klamkę. Okazało się, że Maria nie zamknęła drzwi wejściowych. Nie było w tym nic dziwnego, podobno nieraz już tak robiła, nie zważając zbytnio na swe bezpieczeństwo ani na możliwość kradzieży. Wśród znajomych miała opinię nieco roztrągniętej, zaś wczorajsza bibka tym bar-

dziej usprawiedliwiała ów drobny, jak się zdawało, fakt. Weszli do wnętrza. Zobaczyli ją, leżącą pod kocem na tapczanie. W pierwszej chwili chcieli się wycofać, bo myśleli, że już śpi. Ale Joanna dostrzegła otwarte oczy kobiety, utkwione nieruchomo w suficie, i podbiegła do przyjaciółki.

— Jezus, Maria — zajęczała, gdy pojęła, co się stało. — Zróbmy coś, przecież to straszne! Ona nie żyje!

Inżynier Ryłski był człowiekiem opanowanym. Najpierw stwierdził, że Joanna się nie myli, potem szybko podszedł do telefonu i zawiadomił pogotowie o wypadku. Po namyśle powiadomił także milicję. Wygląd kobiety świadczył o tym, że zginęła nienaturalną śmiercią. Oboje nic z tego nie rozumieli, wiedzieli jednak, iż należy czekać, aż nadjedzie milicja i lekarz. Maria Visconti to ich przyjaciółka. Byli u niej w nocy. Dziś nie żyła. Mieli więc wobec niej zobowiązania, których nie przekreśliło jej wczorajsze, niezbyt grzeczne zachowanie.

W czasie — rozłożyło się to tak: Joanna z przyjacielem weszła do mieszkania Marii przed północą. Zanim przyjechali nasi, nim meldunki trafiły do dyżurnych oficerów, a od nich do mnie, nastął już ów ohydny, zimny, listopadowy brzask. I tak się to wszystko zaczęło.

2

Sekcja zwłok potwierdziła, że Maria Visconti znajdowała się w chwili śmierci w stanie będącym wynikiem tego, że wieczór spędziła tak właśnie, jak zeznali jej przyjaciele. Nic też nie wskazywało na seksualne podłoże morderstwa, ten brutalny motyw mogłem więc wykreślić ze swych rozważań.

Śmierć nastąpiła prawdopodobnie nad ranem, mniej więcej w tym czasie, gdy ludzie zazwyczaj głęboko śpią. Inżynier i Joanna znajdowali się wówczas o piętro wyżej, zapewne już pogrążeni we śnie. Redaktor Majewski zdążył dotrzeć do domu, podobnie jak technik Zawadzki. Nie wiadomo tylko, czy nieznaną dziewczyna przebywała jeszcze u Marii, czy już

odeszła. Badania daktyloskopijne potwierdziły obecność w tym domu wszystkich znanych mi osób, uczestniczących w owej małej uroczystości, a także odciski palców drobnych, kobiecych, zapewne dziewczyny z „Continentalu“. Wśród licznych i najrozmaitszych odcisków znalazły się także należące do plastyka. To mnie zainteresowało. Zacząłem badać rzecz dokładnie.

Artysta, jak się okazało, wpadł na moment do Marii, gdy towarzystwo bawiło się w najlepsze. Dziwne, ale wszyscy wówczas obecni o fakcie tym zapomnieli. Po prostu zajęci sobą, podnieceni, nie słyszeli dzwonka. Maria otworzyła sąsiadowi, poprosiła, by wszedł, nie słuchała, czego od niej chce, nalała kieliszek i potem bezceremonialnie wyprosiła gościa za drzwi. Odtworzyłem przebieg tych wydarzeń, gdy po raz drugi przesłuchałem malarza, a potem sprawdziłem jego wersję.

— Dlaczego o tym nie mówiłem? — wzruszył ramionami. — A pan by powiedział na moim miejscu? Mama zawsze mnie uczyła, żeby nie opowiadać zbyt wiele, kiedy nikt nie pyta. A pan o to właśnie nie pytał, panie kapitanie.

— Jesteście spryciarzem, panie kolego.

— Pan nie jest moim kolegą — zaprzeczył się.

— Dlaczego nie? Pan rysuje i mnie się też zaczyna rysować...

Spojrzał na mnie z niepokojem. Stracił pewność siebie. Nie wdając się już w żadne dywagacje, zaczął opowiadać. Otóż tego wieczoru miał u siebie dziewczynę. Nie Iwonę, przecież mówił już, że jej nie ma. Inna, taka jedna, Ewa. Zabrakło mu paliwa, powiedział.

— Czego?

— No, chciało się pić, pan wie. Usłyszałem zabawę u pani Marii, więc poszedłem, bo myślałem, że może mi coś pożyty. Ale ona była wlana i nie miała nic. Dała mi tylko kieliszek do wypicia. A ci jej goście ledwie na mnie spojrzeli. Jakiś facet obejmował taką blondynę, drugi zasypiał w fotelu, a trzeci stał przy oknie i patrzył na zasłoniętą storę, jakby coś przez nią widział — zaśmiał się grubym,

rechotliwym śmiechem. — Wszyscy byli dobrzy, pan wie?

— A kto potwierdzi, że pan mówi prawdę?

Wzruszył ramionami.

— Któryś z nich musiał mnie widzieć. Przecież piliem kielicha przy nich, w pełni światła, jak na dłoni — usiłowałem żartować, ale widziałem, że oblatuje go strach. Zwykły, ludzki strach. Od tego momentu plastik stał mi się bardziej sympatyczny. Czulem przez skórę, że mówi prawdę. Mimo to sprawdziłem go. Nic na wiare.

Inżynier Rylski, gdy spytałem o plastyka, w pierwszej chwili zaprzeczył, aby ktokolwiek składał wizytę Marii podczas ich obecności. Jednak po namyśle przyznał, że nie jest tego taki pewny. Chyba słyszał dzwonek i być może, że przyszedł ktoś na chwilę.

— Tak, zapewne się myłę — powiedział. — Ktoś rzeczywiście wszedł. Ale nie pamiętałem o tym, to trwało tak krótko. A ja byłem bardzo zajęty...

Czekał na pytanie, co go tak absorboowało, ale czekał nadaremnie. Wiedziałem: to on był tym facetem ściskającym blondynkę — jak to określił plastik.

Technik Zawadzki zaprzeczył wszystkiemu.

— Nikogo nie widziałem. Nic nie słyszałem. Głowę daję, że przy mnie żadnej wizyty nikt Marii nie składał — zapewniał z przekonaniem, święcie wierząc w swoje słowa. To on zasypiał w fotelu — wedle słów plastyka. Taka minutowa drzemka zaciera granicę między rzeczywistością a snem. Czasami nie wiemy, że zasnęliśmy na moment, zwłaszcza gdy jesteśmy po kilku głębszych...

— Dziękuję panu.

Redaktor Majewski, podobnie jak inżynier, coś sobie przypomniał.

— Tak, słyszałem dzwonek, ale byłem zamyślony, nie zwróciłem uwagi na to, co działo się w pokoju. Przyszedł mi pomysł nowego programu, panie kapitanie. Widziałem niemal w rzeczywistości obraz po obrazie, słyszałem kwestię po kwestii. Taka chwila natchnienia... — uśmiechnął się zażenowany.

Wiedziałem, gdzie szukał natchnienia. W storze okiennej.

— Więc był ktoś, czy nikogo nie było?

— Był. Teraz pamiętam, że zdziwił mnie widok barczystego młokosa, pijącego kieliszek tuż pod żyrandolem. To znaczy ów człowiek stał pod żyrandolem i pił — płał się Majewski. Bóg z nim. — A za chwilę znowu nikogo obcego nie dostrzegłem w pokoju, więc sądziłem, że ów człowiek był moim przywidzeniem.

Nie męczyłem dłużej redaktora. Potwierdził słowa plastyka, wszystko zgadzało się co do joty. Na razie. Ale to jeszcze o niczym nie świadczyło. Mimo sympatii, jaką we mnie wzbudzał, musiałem zbadać sprawę do końca. Malarz wiedział, że wszyscy w domu Marii są pijani. Mógł czekać, aż wyjdą i wówczas przyjść, dokonać zbrodni. Widział, ilu ludzi było w mieszkaniu Visconti.

— Kim jest Ewa? — pytałem dalej plastyka. — Imię już znam. Ale nazwisko, adres? Gdzie ją odnaleźć?

— A po co to panu? — zaperzył się. — To moja sprawa prywatna, pan wie. Ona ma cholernych starych. Te antyki umarłyby z wrażenia, gdyby pan ją tu wezwał.

— Jak pan uważa — powiedziałem niedbale — ale odmowa zeznań utrudnia mi określenie mego stosunku do pana. Nie mogę bowiem ustalić, czy uważać pana za świadka, czy za podejrzanego...

Popatrzył na mnie spode łba, jakby chciał mi skrócić kark. Nie dziwię się, ja także broniłbym swojej dziewczyny.

— Ja ją tu przyprowadzę, tylko niech mi pan da to wezwanie. Sam jej dostarczę i przyjdzie. Żeby rodzice nic nie wiedzieli... — już nie używał żargonu knajackiego, prosił. Był zwykłym, młodym, wrażliwym mężczyzną. Postanowiłem pójść mu na rękę.

— Zgoda. Ale teraz personalia i adres.

Podał wszystko dokładnie. Zdziwiłem się, gdy dowiedziałem się, kim jest dziewczyna. Nosila nazwisko dość znane w środowisku artystycznym. Rozumiałem chłopca.

— Jutro o dwunastej w południe — nakazałem, podając mu wezwanie dla Ewy.

— Dziękuję. Pan jest swój gość, pan wie?

Zmilczałem ten komplement.

Nazajutrz z ciekawością przyjrzałem się dziewczynie. Potwierdziła, że była u swego chłopca w domu, bez specjalnego zażenowania zeznała, że opuściła jego mieszkanie dopiero około dziesiątej przed południem.

— A co na to rodzice?

— Nie było ich przez dwa dni.

— Rozumiem.

Nic nie rozumiałem. Dziewczyna śliczna. Wyglądała niczym aniołek. I takie rzeczy. A do tego ów barczysty, zarośnięty plastyk. *De gustibus non est disputandum* — przypomniałem sobie powiedzenie Rzymian, które zapadło mi tak głęboko w pamięć dzięki staraniom niezapomnianego łacinnika, Dominika Banaszka. On też miał niezrozumiałe gusty, nie wiem na przykład, dlaczego mnie nie lubił. Musiałem więc uczyć się łaciny na blachę.

— To wszystko, proszę pani. Żegnam.

— Do widzenia — uśmiechnęła się. — Dziękuję.

Plastyk był pierwszą osobą, którą skreśliłem z rejestru najbardziej podejrzanym, co uczyniłem z satysfakcją. Pomyślałem sobie, że Ewa jest mi za to wdzięczna. Szybko jednak odrzuciłem te prywatne i całkiem niestosowne myśli. Czasu służbowego marnować mi nie wolno. *Do roboty, do roboty...* — zanuciłem. Protokolant nie patrzył na mnie. Wiedziałem, że po prostu unika mego wzroku, że coś mu tu nie pasuje i że tym czymś jestem właśnie ja. Chłopiec mało chyba w życiu widział.

Aktorka z przeciwka wydała mi się osobą niezdolną do brutalności. Jej mąż, człowiek wiecznie zamyślony, wyglądał na cień swej żony. Posłuszny, spokojny. Pomagał jej w organizowaniu życia, że tak powiem — pozaartystycznego. Kiedy z nim rozmawiałem, pan Kwitecki czynił na mnie wrażenie bardziej pomocy domowej niż męża aktorki. Dowody jego mę-

skości jednak w postaci dwóch chłopaków, niegorszych kilkunastoletnich urwisów, były aż nadto widoczne w tym domu. Zresztą obydwaj byli podobni do ojca.

Gdy odwiedziłem dom aktorki, pani Kwitecka właśnie odpoczywała po obiedzie. Wróciła z próby w teatrze, teraz leżała na kozetce, w szlafroku, który bardzo do niej pasował, nie raził, nie odślaniał niczego, był po prostu ubiorem najlepszym do odpoczynku. Przeprasiłem za nagłe najście. Wybaczyła mi je, zresztą chętnie i z wdziękiem. Mąż przyszedł do nas za moment, poprawiając „w biegu“ krawat, który zapewne szybko zawiązał. Zapomniał natomiast zdjąć fartuch. A więc zmywał naczynia po obiedzie. Dostrzegłszy ostre spojrzenie żony, szybko wycofał się, aby powrócić już w normalnym stroju.

— W dobie równouprawnienia... — uśmiechnął się bez zażenowania, raczej z pełnym przekonaniem.

Wstrząsnął mną dreszcz trwogi. Jeśli i mnie żona zapragnie tak usytuować w naszym domowym życiu, żegnaj praco, żegnajcie sukcesy służbowe! On, ten „mąż swojej żony“ pogodził się z losem. Mój Boże...

Prowadziłem rozmowę z obojgiem, aby dowiedzieć się, jak spędzili ów wieczór i noc. Było jasne, że stali, musieli stać poza wszelkimi podejrzeniami. Ojciec pilnował synów do chwili powrotu matki — najpierw, aby odrobili lekcje jak należy, później wykapali się, a wreszcie położyli do łóżek o odpowiedniej porze. Potem trzeba było przygotować lekką kolację, śpiesząc się, aby zdążyć na czas. Około jedenastej przyszła pani Kwitecka. Kolacja, rozmowa, wieczorne ablucje, wreszcie kilka kartek jakiejś powieści przed snem, taki był koniec ich dnia, i wówczas, i zawsze. Oczywiście słyszeli owe hałasy i awanturę u sąsiadki.

— Kim właściwie była, pani zdaniem, Maria Visconti? — zapytałem aktorkę. — Interesuje mnie, czy w jej życiu nie odnajdę jakiejś przyczyny, kogoś, kto miałby motyw, aby popełnić zbrodnię. Bo dotąd istnieje zbyt wiele poszlak — udałem szczerłość, chciałem wyciągnąć gospodynię

na zwierzenia. — A ich nadmiar tylko przeszkadza, proszę mi wierzyć.

— Kim była? — zamyśliła się głęboko. Przyglądałem się aktorce, dość popularnej, abym i ja znalazł jej najgłośniejsze role, ale nie tak sławnej, by los nie oszczędził tej kobiecie smaku goryczy. — Przede wszystkim była sobą. Samotną, tęskniącą do pełni życia kobietą. Czy pan wie, co to oznacza?

— Zapewne, jeśli dobrze rozumiem... — płatałem się pod uważnym spojrzeniem pani Kwiteckiej.

— Pan tego nie wie i nie może wiedzieć. — Westchnęła. — Dla kobiety pełnia życia to nie tylko sukces zawodowy, to przede wszystkim powodzenie w miłości, własna rodzina, dziecko. Ona tego nie miała. Słyszałam, że była dobrą dziennikarką tam, w Szwecji, dlaczego do nas przyjechała, nie wiem. Ale domyślałam się, że spodziewała się tu odnaleźć to, czego nie znalazła we własnej ojczyźnie.

— *De mortuis nil nisi bene* — wtrącił mąż aktorki. — Ale czy ty aby trochę nie przesadzasz? Ta pani była nieco lekko-myślna, jeśli dobrze rozumiem to, co tu się nieraz zdarzało zobaczyć.

— Nic nie rozumiecie, wy, mężczyźni.

— Proszę mówić — uśmiechnąłem się przymilnie. — To niezwykle interesujące.

— Ta kobieta czekała na miłość. Ale nie tak łatwo poznać, kiedy ona nadchodzi rzeczywiście. No i stąd błędy. Rozumiesz? — zwróciła się do męża, patrząc na niego karcąco. — Przyjaciele pani Visconti to ludzie, z którymi pracowała. Dobrzy do zabawy, no, powiedzmy, niektórzy z nich, zwłaszcza pewien dziennikarz, wydawał się interesować ją przez krótki czas. Ale to była pomyłka. Taka sama, jak tamta chłopięca miłość fińskiego studenta. Pan już o tym wie?

— Tak — odparłem. Ukrywanie tego nie miało sensu.

— Chłopiec kocha ją do dziś. Jest niezwykle przygnębiony. Nie uczy się, nie wychodzi nawet z domu. Boję się, czy nie zrobi sobie czegoś złego, proszę pana.

— Mam nadzieję, że nie się nie stanie.

— Nie myślę się. On ją kocha. A przecież to nie był dla niej partner. Pani Vis-

conti wiedziała o tym. Uległa jego prośbom, jego psiemu spojrzeniu. Miała chwilę słabości, jaka zdarza się każdemu z nas, czuła się zapewne samotna, gdy on przyszedł. I stało się. Chłopiec myślał potem, że z powodu tego faktu zyskał jakieś prawa. Mylił się. I ona mu to powiedziała.

— To było chyba okrucieństwo, nie sądzisz? — zapytał mąż.

— Nie. Okrucieństwem byłoby zwodzić chłopca.

— Tak, proszę pani.

— On powinien panu więcej powiedzieć o Marii Visconti. I o sobie. Pamiętam, jak bardzo był radosny przez te dni, podczas których wierzył w swoje szczęście. I jak przygniotła go rozpacz, spod jej ciężaru nie umiał się już podnieść...

— Młodość wszystko zniesie — powiedział sentencjonalnie pan Kwitecki. — Pożyje trochę, to mu przejdzie, a potem znajdzie sobie odpowiednią dziewczynę.

— A może to było to, na co czeka się całe życie i co już nigdy później się nie powtórzy? — pani domu mówiła z przejęciem, ale w sposób nieco egzaltowany. Brzmiało w jej słowach coś sztucznego. Dlaczego ona podkreślała stale ową rozpacz i to, że miłość Fina była tak silna? Czyżby chciała mi coś podsunąć?

— A więc on miał powód, aby domagać się swych praw do Marii Visconti — zauważyłem, udając, że to zdanie nie ma żadnego większego znaczenia.

Zamilkli. Cisza trwała nieznośnie długo. Zrozumiałem, że uraziłem panią domu, że niczego nie chciała mi podsuwać. Po prostu była zachwycona tą miłością. To ja patrzyłem na wszystko z brutalną trzeźwością, podejrzliwie, tak jak nakazywał mi mój służbowy, a więc i obywatelski obowiązek.

— Wiele pani wie o Marii Visconti — powiedziałem. — Bardzo zbliżyła mnie pani do jej postaci. Sądzę, że teraz rozumiem ją lepiej i głębiej niż przedtem.

— Kobieta pojmuje kobietę — odparła pani Kwitecka.

Wstałem z fotela, ukloniłem się aktorce, potem jej mężowi. Za drzwiami westchnąłem ciężko. Ona była głową tego domu, ale też i umiała wyciągać wnioski z ota-

czających ją faktów, sterowała życiem swoim i swych najbliższych w sposób pewny. Jak dobrze, że Ania jest inna.

Dlaczego jednak z naciskiem powracała do owego fińskiego studenta? I czemu współczuła tak bardzo Marii Visconti? Nie przyjaźniły się przecież ze sobą.

To nie aktorka dokonała zbrodni. Ale też nie mogę wykluczyć, że pani Kwitecka wie coś na ten temat. A może się mylę? Jeśli wie, powie mi, choćby ze strachu przed odpowiedzialnością.

4

Wreszcie przyniesiono mi zestaw rozpoznanych odcisków palców. Zainteresowały mnie bowiem słowa Kwiteckiej i postanowiłem jeszcze raz przyjrzeć się meldunkowi z laboratorium.

„A poza tym kilka zamazanych odcisków w okolicy klamki zewnętrznych drzwi, nie zidentyfikowanych...”

Czytałem to zdanie kilka razy czując, że zaczynam się podniecać jak w chwili, gdy nadchodzi dobry pomysł, ten właśnie, na który czeka się nieustannie, na który liczy się wykonując mimo to wszystko, co nakazuje rutyna, regulamin i instrukcja.

Złapałem słuchawkę telefonu, a gdy zgłosił się porucznik Aleksiewicz, postawiłem tylko jedno pytanie:

— Czy odciski palców koło klamki mogą należeć do tego Fina?

— Do Fina? O, cholera... — rzucił słuchawkę. Nie musiałem długo rozmawiać, sprawę chwycił w locie. Z pewnością sprawdzi wszystko, co jest niezbędne.

Wróciłem do lektury. Nie zidentyfikowane ślady znaleziono też na blacie stołu, w ogóle było ich wiele. Maria prowadziła tryb życia towarzyski, odwiedzała ją wiele koleżanek i kolegów. Nic dziwnego, że nie wszystkie ślady dotąd rozpoznano.

Tymczasem postanowiłem zająć się bliżej redaktorem Majewskim. W istocie nic o nim nie wiedziałem. Tyle, że kłamał. Bo prowadził wóz po pijanemu i było coś między nim a Marią Visconti. Pani Kwitecka powiedziała, że Marię łączyło coś z pewnym dziennikarzem, zresztą krótko. A

inżynier Ryłski wyraźnie wskazał na Majewskiego.

Pojechaliśmy z redaktorem do mieszkania denatki. Był blady, wstrząśnięty. Zastanawiałem się przedtem, jak doprowadzić do tego, abyśmy mogli porozmawiać właśnie tam. Nikomu o tym nie mówiłem, moja władza nie lubi eksperymentów psychologicznych. Ale ja nie mogłem pozbyć się wrażenia, że tam i tylko tam Majewski zdobędzie się na szczerość.

Dla upozorowania przyczyny spotkania, wymyśliłem więc konieczność sprawdzenia, czy z mieszkania nie zginęło coś, o czym nie wiedzieliśmy, a co mogłoby naprowadzić nas na ślad. Zresztą zagrałem na całego.

— Dlaczego właśnie ja? — zapytał, gdy wyluszczyłem mu moją prośbę.

— Ponieważ pan tam bywał częściej niż inni, przez pewien czas — wypaliłem bez ogródek. Nie zaprzeczył. Spytał tylko, kiedy to spotkanie.

Chodziliśmy z nim po mieszkaniu Marii Visconti. On milczał, więc i ja nie przezywałem ciszy.

— Sądzę, że nic nie zginęło — powiedział wreszcie. — Wszystko jest tak, jak owego wieczoru. A czy miała jakieś kosztowności albo pieniądze, tego nie wiem.

— Miała. Znaleźliśmy kilka pierścionków w szufladzie biurka i pięć tysięcy złotych. Biurka nikt nie otwierał.

— No właśnie.

— Więc stwierdza pan, że nic nie zginęło?

— Nie mogę tego powiedzieć na pewno, ale jeśli dobrze pamiętam...

— Jasne.

Milczeliśmy znowu. Staliśmy koło okna, zapewne obok tego samego, przy którym redaktorowi przyszły do głowy owe pomysły artystyczne. Ale dziś ich nie szukał. Czekał na coś w napięciu, bał się albo może przeżywał raz jeszcze tamte wydarzenia, zakończone zaskakującym finałem. Zaskakującym. Czy na pewno?

— I co? — zapytałem. — Jak to było?

— Zwyczajnie — odparł. Odwrócił się ode mnie, pochylił głowę. Podszedł do fotela. Przez chwilę trzymał się oparcia, jak-

by lękał się, że upadnie, potem usiadł. Nie patrzył na mnie.

— To dobry człowiek — powiedział cicho. — Nie miała wrogów. Chyba że babką niechęć brzydkich kobiet do niej będzie pan uważał za wrogość — udał, że się uśmiecha. Nie odzywałem się, pragnąłem, aby mówił, aby powiedział, kim była Maria Visconti.

— Zbliżyliśmy się do siebie w sposób tak naturalny, że nawet nie potrafię powiedzieć, jak to się stało. Wyczuwałem w tym z jej strony chyba więcej przyjaźni niż miłości. Kochałem tylko ja, a ona starała się odpowiedzieć jak echo na moje uczucia. No cóż, panie kapitanie, nie udało się.

— A potem?

— Potem... zwyczajnie. Tamto się skończyło. Została tylko przyjaźń. Pan może nie uwierzy, ale było tak, jak właśnie mówię, stałem się jej towarzyszem pracy i przyjacielem w potrzebie, łączyła nas bezinteresowna sympatia.

— Nie budziła w panu zazdrości?

— Maria?

— Tak.

— Nie zabiłem jej ani z zazdrości, ani z żadnej innej przyczyny — redaktor Majewski spojrzął na mnie na w pół drwiąco, ale z ledwie maskowaną niechęcią.

— Tego nie twierdzą.

— Ale tego pan po mnie oczekiwał, prawda?!

— Proszę zapalić papierosa — podałem mu „ekstra-mocne“. Przyjął.

Dym rozpełzał się po pokoju. Majewski przeżywał na nowo dawno minione sprawy. Zmusiłem go do tego. Przecież miłość, jak sądzę, nie gaśnie tak szybko, gdy to kobieta mówi „nie“. Mężczyzna chyba dłużej odczuwa zniewagę, a choćby ślad goryczy i zawiedzionych nadziei. Nawet gdy już nie kocha. Tak mi się wydaje.

— A jeśli pan nadal jest emocjonalnie związany z Marią Visconti? — zapytałem. — Wówczas wiele dałoby się wytłumaczyć pańskim uczuciem. Właśnie zazdrością. Albo pragnieniem zemsty.

— Pan mnie obraża — powiedział redaktor. Nic więcej. Było mi trochę głupio. Wiedziałem jednak, że moje racje mają

logiczną podbudowę. Ten człowiek nie ma wyraźnego alibi. Jego ślady znajdują się w tym mieszkaniu niemal wszędzie, na stole, na naczyniach, na kłamce, tak zresztą jak wszystkich pozostałych gości. Jest równie podejrzany jak tamci, nawet bardziej niż oni. Dlaczego więc poddawać się wrażeniu, że istotnie go obrażłem, stawiając otwarcie sprawę?

— Nie oskarżam pana — odparłem. — Ale muszę dojść prawdy. Znajdę mordercę, kimkolwiek jest. Nawet gdyby był nim mój najlepszy przyjaciel. Dlatego proszę się nie obrażać.

— To wszystko jest niezrozumiałe i głupie — odezwał się Majewski, jakby ciągnąc dalej swoje wyznania, jakby w ogóle nie było utarczki między nami. — Nie widzę żadnego powodu, aby ona musiała ponieść śmierć. Żadnego.

— Musiał być — rzuciłem. — Tylko po prostu jeszcze go nie znamy.

— Jeśli był, to nie w niej samej. Nie mogła wzbudzić w nikim aż tak nienawistnych uczuć.

— W nikim? I w panu również nie?

— W nikim — powtórzył beznamiętnie, ze smutkiem, bez urazy.

Patrzyłem na tego człowieka. Mówił w sposób, który zdawał się świadczyć o szczerości. A tamte sprawy?

— Jakże mam panu wierzyć — zapytałem — skoro oszukał mnie pan twierdząc, że nie prowadził swego wozu po pijanemu?

— A pan z własnej woli kładłby głowę pod nóż? — zapytał. Spoglądał na mnie jak na naiwniaka.

— Głowę pod nóż? Mandat, kolegium karne, tego się pan bał?

— Nawet tego się boję, proszę pana. Wszystko musiałem wywalczyć, pozycję w zawodzie, standard życia, prawo do przyjemności. Dlaczego więc miałbym poddawać się bez walki w tej głupiej sprawie? Zresztą cóż to ma za związek z zabójstwem Marii?

— Tyle, że pan skłamał. I ukrył pan swe poprzednie związki z panią Visconti.

— Bałem się. Ale teraz nie zaprzeczam. Rzecz była tak powszechnie znana...

— To jednak faktów nie zmienia. I dla-

tego musi pan uznać, że mam pewne powody, aby pańską osobą interesować się w sposób bardziej szczególny niż innymi.

— Takie jest pańskie zdanie, nie moje — zaśmiał się niespodziewanie.

— Morderca podniósł zwłoki i okrył je troskliwie kocem na tapczanie. Powodowały nim jakieś uczucia. Nie uciekł od razu. Starał się zrobić coś, co choćby w części równoważyło to, co się stało.

— Ładna hipoteza: sentymentalny morderca! Tym tropem daleko pan nie zajdzie!

— Ten trop może dotyczyć dróg, którymi pan chadza — powiedziałem spokojnie.

— Pan się myli — odparł również spokojnie.

Przechodzenie ze stanu przygnębienia w stan drwiącej wesołości, to znów spokoju, tak szybkie, tak łatwe... Niezrównoważony człowiek — pomyślałem. — Albo gracz, który chce ukryć znaczoną kartę.

— Czy się mylę, to się jeszcze okaże.

— Jestem pewny, że nadejdzie pora, gdy zechce mnie pan przeprosić.

— Nie mam tego w zwyczaju. Wykonuję swoje obowiązki, a to nie może powodować niczyjej obrazy. Żałuję.

— Czy mogę odejść? — zapytał.

— Do widzenia.

Zostałem jeszcze przez chwilę sam w mieszkaniu Marii Visconti. Właściwie skoro już tu byłem, dlaczego nie miałbym pójść do tego Fina?

Drzwi otworzyła mi starsza pani. Może nie była tak stara, jak myślałem. Gdy przyjrzałem się jej bliżej, zobaczyłem nie tyle starość, ile zmęczenie, śmiertelne, ludzkie zmęczenie, które ściera z twarzy kobiecej wszelki urok i dodaje lat.

— Pan Eryk? — powtórzyła. — A kim pan jest?

— Z milicji — odparłem, pokazując legitymację. Zauważyłem, że to nią wstrząsnęło.

— Pan do Eryka? Naprawdę do Eryka? — powtarzała, prowadząc przez maleńki korytarzyk do pokoju, w którym mieszkał Fin. — Ktoś do pana — powiedziała, pukając w drzwi.

— Nie chcę! — zawołał. Runęło jakieś

krzesło czy coś w tym rodzaju. Pewnie kopnął je z wściekłości.

— Przepraszam — otworzyłem drzwi.

— Niech pan sobie idzie — powiedział. Na wpół leżał na tapczanie, rozmamłany. Patrzył na mnie z nie ukrywaną niechęcią. Był spokojniejszy, niż oczekiwałem.

— Jestem z milicji.

— Policja? Niech pan siada — wskazał przewrócone krzesło. Podniosłem je i skorzystałem z zaproszenia. Gospodyni, dotąd bacznie obserwująca przebieg wydarzeń, jakby w obawie, by Fin nie uczynił mi jakiegś krzywdy, wycofała się za próg i zamknęła drzwi.

— Panowie już coś wiedzą? Macie go? — pytał Eryk.

Nie wyglądał na zupełnie trzeźwego. Robił wrażenie człowieka nie w pełni zdającego sobie sprawę z tego, co dzieje się wokół. Gdy pogadałem z nim dłużej, przekonałem się, że nie był pijany. Był po prostu chory. Miał gorączkę. Nie jadł, nie wychodził z mieszkania — potwierdziła to gospodyni, sam zresztą tego nie ukrywał. Przejęty śmiercią Marii trzy dni siedział w domu, nie zważając ani na potrzeby, ani na obowiązki, ani na to, co pomyślał o nim inni ludzie.

— Jak wy to mówicie? — zastanawiał się przez moment, gdy zapytałem go o to. — Gwizdź na wszystko.

— A pańskie zdrowie?

— Co mi po zdrowiu?

— Powinien pan dbać o siebie — starałem się go przekonać. — Ukończy studia, wrócić do rodziców, podjąć pracę. To ważne sprawy.

— Gwizdź na to — powtórzył.

Patrzyłem na niego uważnie, zastanawiając się, w jaki sposób wstrząsnąć tym młodym człowiekiem. Było mu to potrzebne, aby wrócił do życia, potrzebne mnie także, bym miał pewność, że mogę wykreślić Fina ze spisu podejrzanych albo zostawić go tam, z wszystkimi konsekwencjami tego faktu. Czas mijał szybko, nic nie przychodziło mi na myśl. Nic sensownego.

— Dlaczego pan tu do mnie przyszedł? — zapytał wreszcie Eryk. Czuł się mimo wszystko gospodarzem. Przyczesał palcami

czuprynę, zapiał koszulę pod szyją, nawet podniósł z podłogi stary, brudny ręcznik, którym zapewne czyścił kiedyś buty. Jednym słowem starał się robić dobre wrażenie.

— Byłem tam, na dole — odparłem machinalnie, nie zastanawiając się, co mówię. Chciałem już także dodać, zły na siebie, że od zadawania pytań jestem właściwie ja, gdy uderzyła mnie zmiana w twarzy studenta.

— U niej?... — zapytał.

— U niej.

Zaczął bez słowa, bez jęku, kolysać się na boki, jak czynią to stare, wiejskie kobiety, gdy ogarnia je ból bez granic.

— Proszę się uspokoić — podszedłem do niego. Oderwał ręce od twarzy, zapytał:

— Czy tego, kto to zrobił, czeka kara śmierci?

— Nie wiem. Być może. O tym decyduje sąd. I okoliczności.

— Nie chcę żyć... — powiedział głośno i wyraźnie. Zdrętwiałem. Czy to miało oznaczać, że Fin przyznaje się do morderstwa? Poczulem się oszołomiony. Ale równocześnie coraz jaśniej, coraz wyraźniej widziałem motywy, te, o których już myślałem wcześniej: zazdrość, zemsta młodego, zawiadzonego człowieka.

— Dlaczego pan nie chce żyć? — zapytałem ostrożnie.

— Bo jej nie ma.

— Ktoś ją zabił.

— Powiniście go znaleźć.

— A pan, pan nie może nam pomóc? — postawiłem pytanie patrząc uważnie w oczy Erykowi. Widziałem, że jest błydy, coś się w każdym razie stało w tym momencie, czulem to, widziałem, że chłopiec jest przerażony.

— Proszę powiedzieć — rzuciłem z naciskiem.

— Co?

— Wszystko, co pan wie. Wszystko.

— Wszystkiego nie da się powiedzieć — odparł. Zwiesił głowę.

— Niech pan mówi o sobie.

— O mnie? Nic ciekawego. Żyję dwadzieścia trzy lata. Zresztą tego, co będzie panu potrzebne, dowie się pan i tak.

— A o niej?

— O niej? — oczy Eryka zapłonęły. — To była najpiękniejsza kobieta, jaką kochałem — odparł. — Rozumiała mnie, potrafiła znaleźć radę na wszystko. Była dobra. Nie umiała skrzywdzić nikogo? Inteligentna, subtelną, o wspaniałym sercu. Kochałem ją. Czy pan to rozumie?

— Część znajomych daje Marii Visconti charakterystykę, która odbiega od tego, co pan powiedział.

— Nie znali jej naprawdę albo zazdrościli powodzenia. Ona była dobra, przyjazna dla ludzi, życzliwa w smutku i nie-szczęściu. Jakże mógł ktoś powiedzieć o niej coś innego? Chyba inne kobiety, z zazdrości.

— Pan ją kocha. Inni nie.

— Ale umiałem patrzeć. Ja mam rację.

— Więc dlaczego odeszła od pana? — zdecydowałem się postawić to pytanie bez osłonek. Eryk zacisnął szczęki, myślałem przez moment, że rzuci się na mnie.

— Pan nie ma prawa o to pytać! — zawołał tak głośno, że posłyszałem za drzwiami, w korytarzu, mysi tupot stóp pani domu, która za moment zawróciła jednak do swego pokoju.

— Mam prawo pytać pana o wszystko — powiedziałem. — Tylko tyle, że pan nie musi na te pytania odpowiadać.

— Więc o co chodzi? Czego pan chce?

— Muszę wiedzieć, dlaczego nastąpiło zerwanie.

Eryk milczał przez dłuższą chwilę. Namyslał się.

— Śmiało — pomogłem mu. — Niech pan się nie waha.

— Powiedziała, że to była pomyłka. Była starsza ode mnie o piętnaście lat. Dla mnie nie miało to żadnego znaczenia. Ale jej sąd był inny. Uważała, że nie ma prawa wiązać mi życia. Kazała mi zakochać się w kimś młodszym. Tak mówiła, wiedząc, że rady nie posłucham. Że nie mogę, bo kocham tylko ją, nikogo innego. Chciałem Marię poślubić.

— Rodzice pańscy mieliby to panu za złe — wtrąciłem.

— Nie liczę się z ich zdaniem! — zawołał. — Moje życie należy do mnie! Nie

potrzebuję ich łaski ani miłości, ani ich pieniędzy. Nie chcę, rozumie pan?

Pomyślałem sobie, że chłopak buntuje się w sposób niejako teoretyczny. Korzysta przecież z funduszków ojca, na pewno pisuje do rodziców, jeździ do nich na wakacje. Nie chce pieniędzy...

— Pan sam zarabia na swoje utrzymanie? — spytałem.

— Nie. Ojciec ma zakłady drzewne — odparł i dopiero teraz pojął sens mego pytania. — Ale jak zechcę, to nie wezmę od niego ani grosza.

— Oczywiście — zgodziłem się. — Mam pewną prośbę do pana.

— Słucham?

— Po moim wyjściu niech pan poprosi gospodynię, aby przywołała lekarza. I należy zrobić dokładnie to, co on panu zaleci.

— Pan nie jest moją niańką — burknął, ale niezbyt groźnie.

— A teraz jeszcze jedno. Szukam jakiegoś śladu, jakiegoś punktu zaczepienia w tej smutnej sprawie — powiedziałem możliwie spokojnie, tak, aby chłopak uwierzył. Postanowiłem powtórzyć eksperyment na tym Finie. — Dlatego zakładam także wariant, że morderstwa dokonał ktoś nieznany w celach rabunkowych. Pan bywał często u Marii Visconti?

— Tak — twarz Eryka zrobiła się znów jak papier.

— Niechże mi pan pomoże. Chodzi o to, czy zginęło coś z jej mieszkania, coś, co miało jakąś wartość, a o czym nie wiemy...

— Tak — powtórzył. Nie wiedziałem, czy zgadza się, czy tylko machinalnie burknął to słowo. Chciałem, aby znalazł się razem ze mną w pokoju Marii. Ktoś przecież podniósł ją z podłogi i położył na tapczanie. To musiał być ktoś, kto żywił do niej w tym momencie ludzkie, dobre uczucia albo przynajmniej uczucia te w nim się obudziły — po wszystkim. Redaktor Majewski nie przyznał się. Więc może Eryk?

— Idziemy? — zapytałem.

— Tak — powtórzył po raz trzeci. Podniósł się, wydało mi się, że traci równowagę, chciałem go podtrzymać, ale mnie odtrącił. — Nic mi nie jest.

Wyszliśmy, milcząc, z pokoju. Czuję na plecach spojrzenie pani domu.

— Zaraz wracam — powiedział Eryk, mimo iż nie oglądał się za siebie, podobnie jak ja. Zapewne przyzwyczajony był do tego, że stara go pilnuje.

Przed drzwiami Marii znów lekko się zachwiał. Tym razem pobałdł jeszcze bardziej. Podtrzymałem go.

— Prędeż — warknął. Weszliśmy. Zatrzymałem go w korytarzu.

— Tutaj? — zapytałem. Rozejrzał się.

— Tam, koło wieszaka stał zawsze taki skórzany, jasnobrązowy nesesor, miał srebrny monogram Marii.

— Nigdzie go nie ma.

— Postawiła go w tym miejscu, aby zawsze przypominał jej, że gdy tylko zechce, może wyjechać w świat. Sama mi to mówiła.

— Dziękuję.

Weszliśmy do pokoju. Na tapczanie leżała jeszcze poduszka, którą ktoś podłożył Marii pod głowę. Wszystko znajdowało się na swoim miejscu, jak przedtem, jak za jej życia.

— Ona tu leżała — powiedział nagle Eryk i ukląkł na dywanie. — O, tu — wskazał.

— Skąd pan to wie? — zawołałem przejęty.

— Byłem tu rano, tamtego dnia — Eryk patrzył na mnie jak dziecko. — Leżała martwa na ziemi. Więc podniosłem ją i okryłem kocem. Żeby nie zmarła.

— Ona nic nie czuła.

— Wiem. Pan tego nie zrozumie.

— Musi mi pan powiedzieć, dlaczego pan tu wszedł, jeśli mam panu wierzyć. — Mimo wszystko współczułem temu chłopcu. A jeśli zaplątał się w całą sprawę bezwiednie i grzęźnie w nieprzychylnych mu pozorach?

— Słyszałem hałasy, zabawiali się u niej jak w karczmie — rzucił przez zęby Eryk. — Nachodzili ją, często bez jej woli.

— Proszę mówić dalej — pomogłem mu, gdyż zamilkł. Więc do końca nie wierzył, że ona go nie kocha. A Maria wstydziała się swych zabawowych gromadnych odwiedzin, widać musiał ją kiedyś o to za-

gadnąć, skoro podsunęła mu takie rozwiązanie: nachodzą ją bez jej woli...

— Nie spałem całą noc. Męczyłem się. Pragnąłem pójść do niej i zapytać, dlaczego pozwala innym na tak wiele...

— To były urodziny Joanny Enertyckiej — powiedziałem, aby mu nieco ulżyć. — Nic złego, proszę pana.

— Ach tak... — ucieszył się. — A ja chciałem jej powiedzieć, co sędzę o tym wszystkim. I że nic sobie nie robię z tego, co ludzie myślą, więc powinna do mnie wrócić...

— Tak. Rozumiem. A gdy pan ją zobaczy?

— Myślałem, że zemdleję. Chciałem uciekać. Bałem się, że ktoś mnie zobaczy i posądzi mnie, że to ja zabiłem Marię. Nawet byłem już przy drzwiach.

— I wrócił pan?

— Bo pożałowałem tej kobiety. Leżała jak martwy przedmiot na podłodze. Jak porzucony przedmiot.

— Czy nie zdziwiło pana, że była na wpół rozebrana?

— Nie. Myślałem, że zaczęła się rozbierać i zdjęła te swoje błyszczące spodnie, takie szerokie...

— Spodnie?

— Tak. I że potem coś się stało. Że to się stało. Leżała bez ruchu...

— Zamordowana kobieta. Powinien pan o tym pamiętać.

— ...więc ułożyłem ją na tapczanie, okryłem...

— I co dalej?

— Potem wyszedłem. Gdy wychodziłem, drzwi były otwarte. Zatrzasnąłem je.

— Dlaczego pan do nas nie zatelefonował?

— Chciałem. Ale zbyt się bałem. Pląkałem ze wstydu i bałem się. Pan wie? — popatrzał na mnie ze zgrozą. — Ja czułem większy strach niż rozpacz. Wstyd mi. Nie zatelefonowałem. A potem lękałem się jeszcze bardziej. I dopiero teraz, dzisiaj...

— Pan to tak zrobił, że nie znaleźliśmy pańskich wyraźnych śladów.

— Pamiętałem o tym. Wychodząc wytarłem klamkę. Zatrzasnąłem potem drzwi, ledwie jej dotykając.

— Pamiętał pan? — popatrzyłem zdziwiony. Więc to tak?... Przygryzłem wargi. Dałem się wziąć na tę grę. Eryk jest niezłym aktorem — myślałem. — Jeśli umie tak udawać...

— To wszystko, co ma mi pan do powiedzenia?

— Wyznałem prawdę.

— Czy ktoś może potwierdzić pańskie zeznanie? — zapytałem wiedząc, że jest to tylko czcza formułka.

Eryk milczał. Patrzył na mnie, ja na niego, zaczynał rozumieć, że wyznanie, jakie uczynił, zaczyna komplikować jego osobistą sytuację.

— Ja tamtego nie zrobiłem. Kochałem ją!

— Wierzę panu. Ale to trzeba będzie dokładnie zbadać. Spotkamy się jutro. Do tego czasu nie wolno panu opuszczać miasta bez naszej wiedzy.

— Ależ dlaczego?

— Ponieważ jest pan podejrzany o dokonanie tego czynu na osobie Marii Visconti. Muszę pana oficjalnie przesłuchać.

Specjalnie nie używałem określenia — morderstwo ani słowa areszt. Było mi, mimo wszystko, żal chłopca. Sam wyznał, co zrobił. Była to co najmniej okoliczność łagodząca. A jeśli powiedział prawdę, jeśli istotnie ktoś inny był mordercą?

— Pan mi nie wierzy?

— Wierzę panu. Ale okoliczności się zmieniły.

5

Tak więc miałem swego pierwszego podejrzanego, który idealnie spełniał wszystkie warunki: miał motyw, był sam owej nocy, a raczej wczesnego poranku w domu zamordowanej, przyznał się do tego, potwierdziły to również badania daktyloskopijne. Porucznik Aleksiewicz poddał raz jeszcze analizie ślady i stwierdził, że mimo ich częściowego zatarcia, z pewnością należą do Eryka. Wyjaśniła się zagadka, ta mianowicie, kto ułożył zwłoki denatki na tapczanie i dlaczego. Motywy uczuciowe, których istnienie w tej mrocznej sprawie podejrzewałem od początku, zostały po-

twierdzone. Ale zeznanie Fina dotyczyło tylko części okoliczności, jakie musieliśmy wyjaśnić. Z całą stanowczością chłopiec zaprzeczał oskarżeniu o morderstwo lub o współudział w nim. Był obrażony, tak, obrażony tym podejrzeniem. Zgadzał się, że źle postąpił zatajając fakt, iż wszedł był do mieszkania Marii Visconti i podniósł jej zwłoki z dywanu, gmatwając tym śledztwo. Jednakże lęk przed oskarżeniem o morderstwo mógł powstrzymać bardziej doświadczonych niż on od zeznania prawdy. Przecież Majewski miał także coś niecoś do ukrycia, a nie za pierwszym razem powiedział o tym. Czy mogłem dziwić się Erykowi? Nie miałem prawa wykluczyć go z kręgu podejrzanych tylko dlatego, że czułem do niego swego rodzaju sympatię.

Pozostały jeszcze dwie zagadki. Czy istotnie w korytarzu mieszkania pani Visconti stał zawsze skórzany nesesor, którego nikt z jej znajomych nie zapamiętał prócz Eryka? Jeśli był tylko wytworem jego fantazji? Naiwną próbą podsunięcia mi przedmiotu kradzieży, zmierzającą do potwierdzenia mych własnych podejrzeń? Przecież, prosząc chłopca o zejście do mieszkania Marii, sam podałem mu jako przyczynę możliwość rabunku. Potwierdził więc to za pomocą mitycznego nesесeru z monogramem. Spytałem o niego kilka osób. Redaktor Majewski nie był pewny, czy go widział, czy nie. Joanna Enerłycka wzruszyła ramionami.

— Nesesor? A któż go trzyma w korytarzu i po co? Od czego jest szafa.

Niby racja, ale ja sam, na przykład, kładę swoją walizkę pod szafę, która ma bardzo wysokie nóżki, i w ten sposób wykorzystuję do maksimum przestrzeń mieszkania. Mimo wszystko nakazałem więc obserwację ludzi podejrzanych o paserstwo. Wywiadowcy zaczęli się kręcić po bazarze Różyckiego. Puszczono w ruch maszynę, która mogła przynieść Finowi ratunek. Mogła jednakże nie wyjaśnić niczego. Bo jeśli paserzy domyślą się, że szukamy fantów z mokrej roboty, jeśli domyślą się, o co chodzi, zniszczą i spodnie, i nesesor. Wszelki ślad po nich zniknie na wieki.

Trzecią zagadkę stanowiła owa dziewczyna z „Continentalu“. Poszukiwano jej bezskutecznie. Wszyscy obecni na przyjęciu u Marii Visconti potwierdzili jej istnienie, nie była więc niczym wymysłem. To człowiek z krwi i kości, który musi gdzieś żyć, mieszkać; tylko gdzie? Jeśli była „nową“, prędzej czy później wyjdzie ze swojej nory. Z tą dziewczyną było coś nie w porządku. Dlaczego znikła jak kamfora? Czy bała się czegoś? Może wiedziała coś o morderstwie?

III

1

Zdałem sobie sprawę, że idę z nosem przy ziemi jednym tylko tropem, u każdego z podejrzanych, łącznie z Erykiem, dopatrując się wyłącznie uczuciowych motywów zbrodni. Zawiedziona miłość, zazdrość, obrażona duma męska i tak dalej. A tymczasem, mimo iż z mieszkania Marii Visconti nie zginęło nic wartościowego, jeśli nie liczyć owego neseseru, mimo że ocalała biżuteria i nawet pierścionek na palcu ofiary pozostał nie tknięty, u podłoża morderstwa mogły leżeć pieniądze. Przecież zamordowana była samotną, dobrze zarabiającą osobą. Z danych, jakie ściągnęliśmy ze Szwecji, wynikało, że jest, to znaczy była posiadaczką skromnego, ale nie pozbawionego pięciocyfrowych sum konta w banku w Malmö. A tu, jeśli nawet nie cechowała jej zbytnia oszczędność, musiała przecież zebrać jakieś kwoty: nie miała samochodu, nie szalała w najdroższych lokalach, ubierała się modnie, lecz bez tej rzucającej się w oczy nadgorliwości, która każe płacić wygórowane ceny za sam fakt uzyskania czegoś tam w firmie prywatnej o najwyższej warszawskiej renomie.

Maria Visconti pracowała w Polsce już

czwarty rok. Jej zarobki były tego rodzaju, że powinna coś z nich zaoszczędzić. Gdzie się podziały te pieniądze? I czy w ogóle istniały? Kto mógł mi na to pytanie odpowiedzieć?

Nakazałem dyskretną obserwację stylu życia wszystkich zamieszanych w sprawę morderstwa z wyjątkiem, ma się rozumieć, studenta, który siedział w areszcie, oraz owej dziewczyny z „Continentalu“.

— Masz listę? — zapytałem przyjaciela, który oczekiwał mojej decyzji.

— Proszę. Cała kolekcja w komplecie.

Przejrzałem spis jeszcze raz. Po namyśle wykreśliłem państwa Kwiteckich, to znaczy aktorkę i jej męża, a także plastyka. Co do niego wahałem się przez moment, nim wreszcie uczyniłem to, co było jedynie słuszne. Miał alibi. Chciałbym mieć przez całe życie takie alibi jak on, pewnie musiało im być razem bosko... Ale zaraz przypomniałem sobie Hanke i zdrożne myśli odbiegły mnie, jak zdmuchnięte przez szkwiał.

— W czym rzecz?

— Żeby to ja wiedział. Może ktoś z nich ostatnio szczególnie dużo wydawał? Albo przedtem nie śmierzdział groszem, a teraz ma harmonię pieniędzy?

— Myślisz, że ona miała flotę?

— Myślę.

— I nie znaleźliście żadnych śladów?

— Nie. To musiał zrobić ktoś, kto znał jej mieszkanie jak własne.

Na pierwszy ogień poszła Joanna Enerytycka oraz inżynier Ryłski. Pani redaktor kawalerkę zdobyła w ten sposób, że przez kilka lat oczekiwała swej kolejki na liście pracowników telewizji ubiegających się o mieszkanie z budownictwa zakładowego. Wkład musiała zapłacić sama. Uzyskała pożyczkę z kasy, gdzieś tam zapożyczyła się prywatnie, miała także nieco własnych oszczędności. To było cztery lata temu. Dziś spłaciła już cały dług, grubo przed śmiercią Marii. Zarabiała przecież nieźle. Jednakże nie wiodło jej się najwyborniej. Musiała ubierać się przyzwoicie, bowiem dobra, modna sukienka to obowiązek, a nie przywilej zawodu dziennikarskiego. Poza tym kilkaset złotych miesięcznie wysyłała na adres Anny Enerytyckiej w Ra-

domsku. Anna to jej matka, rencistka. Joanna była jedyną córką staruszki. Oto cała tajemnica finansowego życia pani redaktor. Nic ponad normę, niewiele kłopotów, ale i niezbyt dużo możliwości wybiecia się nad przeciętność. Czasami wyjazd do NRD albo do Czechosłowacji. Teśknoty podróźnicze, pragnienie poznania świata, którego zaspokojenie przypominało lizanie cukierka przez szybę: jakiś to daleki, nieznany świat i jakiś romantyzm poznania na turystycznej wycieczce „Juventuru“? Nie miała samochodu, nie starała się o przydział. To wszystko.

Inżynier Ryłski to całkiem inna sprawa. Lubił życie z fantazją. Potrafił zaprosić Joannę z Marią do „Bristolu“, stracić tam połowę swej pensji, nie przyznając się wcale do tego, że resztę miesiąca przeżyje jadając obiady w barze mlecznym, a na śniadania i kolacje chleb ze smalcem. Czasami miewał skądś niewielkie pieniądze. Grywał w toto-lotka, jeździł w sezonie na Służewiec obstawiać koniki, ale nie wyglądał na to, aby szczęście mu sprzyjało. A jednak raz w tym roku udało mu się, gdy obstawił fuksa i otrzymał wypłatę dziesięciu tysięcy złotych. Był znany w światku służewskiego toru, a o takich rzeczach długo się tam mówi i jeszcze dłużej pamięta. Poza tym kilkaset złociszów wybierał czasami z kasy toto-lotka. Wprost trudno w to uwierzyć, ale miał fart do gry. Namiętny brydżysta — sądził, że bardziej ekscytowała go wysokość wygranej w złotych niż sportowe współzawodnictwo. Często bywał w sobotnie wieczory u podobnych do siebie. I tak żył, bałaganiarsko, bez planu, pracując, gdy było trzeba, do utraty sił i bawiąc się, jak nadarzyła się okazja. Nie myślał o przyszłości. „Co to jest przyszłość? — mawiał. — To jest to, co będzie jutro. A ja żyję dzisiaj. U mnie zawsze jest dzisiaj“.

Oboje zbliżyli się do siebie nie tak dawno temu. Ale znajomi Ryłskiego i Joanny zgodnie twierdzili, że coś się w nich obojgu zaczęło odmieniać. Ona stała się jakby radośniejsza, nabrała większego polotu, straciła nadmierną powagę, on, bałagał i wolny ptak, coraz częściej przykładowie wychodził z nią po pracy albo przynaj-

mniej wpadał do pokoju redakcyjnego, aby pożegnać Joasię, gdy musiał zostać dłużej. „Z tego coś będzie — mawiali ich przyjaciele. — Oni nigdy dotąd tacy nie bywali“.

Joanna nie znosiła Marii, ponieważ wiedziała zapewne o jej krótkotrwałym romansie z Ryłskim. A ponieważ znała go i rozumiała, że tylko mocną ręką uda się go utrzymać, pilnowała twardo swego mężczyzny. Była świadoma, że Ryłski dałby się skusić każdej podobnej kobiecie. Bez zastanowienia i bez żadnych groźniejszych konsekwencji. Ale ktoś godzi się z tym, aby mieć rywalkę choćby tylko przez jedną noc?

Nie, w wypadku tych dwojga ludzi sprawy finansowe nie wchodziły w rachubę. W każdym razie, jak dotychczas, brak było danych, aby znaleźć dla tych dwóch figur odpowiednie, właściwe pole na szachownicy, na której pragnąłem rozegrać swój mecz z nie znanym mi przeciwnikiem.

3

Technik nagrań, Zawadzki, zarobki miał niezłe, zatrudniona była również jego małżonka, ale musiał ubrać i wyżywić trzech dorastających chłopaków oraz teściową, której istnienie utrudniało co prawda życie — musiał się nieraz nasłuchać ostrych uwag o sobie — ale równocześnie umożliwiało żonie pracę. Zawadzki nie stronił od kieliszka, był aż do przesady koleżeński, lubił kobiety. Ale nie świadczyło o tym, aby w tych sprawach przekraczał granicę, którą żona może jeszcze tolerować. Nie miała chyba złudzeń co do tego, jakim jest, ale również nie wierzyła zbyt plotkom na jego temat. To była dobra, ułatwiająca życie postawa: wierzyć tylko temu, w co się wierzyć pragnie i zapominać o tym, co niewarte pamięci.

Od pewnego czasu Zawadzki zdradzał coraz żywszą chęć nabycia samochodu. Trwało to mniej więcej rok, może nieco krócej. Rozmawiał często z kolegami na ten temat, radził się, jaka marka lepsza, na syrenkę machał pogardliwie dłonią,

myślał o wartburgu, o fiacie, marzył o volkswagenie. Przyjaciele uważali to za austriackie gadanie. Dawali się jednak wciągać w zabawę, śledzili razem z Zawadzkiem wahania cen na giełdzie samochodowej, przeliczali, co bardziej się opłaca, kupić bony pekaoskie i za nie polskiego eksportowego fiata czy może, tu zniżali głos, zdobyć na czarnym rynku dolary i zamówić właśnie volkswagena? Był to jakby rodzaj hazardu, wciągał ich, pozwalał wyżyć się, pomarzyć. Jeden Zawadzki brał to wszystko na serio, mawiał też, że wcale niewykluczone, że pójdzie za ich radą i kupi bony albo może i dolary. Nie wyjaśniał, skąd weźmie pieniądze na ten cel, lecz rozmawiał o nich z taką pewnością, jakby już trzymał je w garści. Jakim cudem? Skąd? Odpowiedź mogła mieć bardzo ważne znaczenie.

Zawadzki pierwszy wyszedł wówczas, w noc mordu, z domu Marii Visconti, wrócił do siebie piechotą, w czasie, który potwierdziła swym zeznaniem jego żona. Ale gdyby tak zaczekał w mroku na okazję, zrobił, co zamierzał, a dopiero potem złapał taksówkę i pojechał do domu? Mieszkał na drugim końcu miasta. Gdy wszedł, jego żona zapytała, która to godzina, nie spojrzała jednak na zegar; była rozespana, zmęczona, długo czekała na męża. Uwierzyła mu, a ja z nią razem. Tymczasem Zawadzki mógł podać godzinę, jaką chciał, kobieta i tak nie sprawdzałyby, bo dlaczego miałby kłamać? Tylko dlatego, aby zyskać alibi. Ale byłoby mu potrzebne, gdyby był mordercą.

Wezwałem Zawadzkiego na przesłuchanie. Wydawał się nieco przestraszony, lecz nie tyle, aby zaciąć się w milczeniu, za którym ukryłby się przede mną.

— Samochód? — powtórzył moje pytanie. — No cóż, panie kapitanie. Mam dwie książeczki PKO, po sześć tysięcy. Co kwartał czekam na wyniki losowania jak na zbawienie.

— Rozumiem. I na to tylko pan liczy?

— Nie tylko. Brat żony ma gospodarzkę na Pomorzu. Czterdzieści hektarów. Obiecał spłacić siostrę. Tak mu matka przykazała.

— Nie musi. Takie prawo, panie Zawadzki.

— Nie musi — przyznał. — Ale on boi się swojej matki jeszcze bardziej niż prawa — zaśmiał się. — Pan kapitan nie znalazł się z moją teściową?

— Co to ma do rzeczy?

— A boby pan kapitan nie pytał, co ona ma do tego. Ma, słowo honoru. I brat spłaci swą jedyną siostrę, ani mowy.

— Dużo tego?

— Na samochód wystarczy.

— Syrena?

— Może być i syrena, jak się nie uda podłapać czegoś lepszego.

— Volkswagen?

— Chciałaby dusza do raju, ale dolarów nie dają — zaśmiał się.

Widać było, że nie czuje lęku. Liczył na to, że ma niezbite dowody niewinności, owe książeczki, które mógł w każdej chwili okazać, i zeznania teściowej oraz szwagra. Nie zawahają się przecież potwierdzić jego słów. Patrzyłem uważnie na twarz tego człowieka. Był zadufany w sobie. Niemal drwił ze mnie. Jakże niewiele rozumiał z naszej pracy, nie miał pojęcia o tym, co wiemy, a czego dowiemy się prędzej czy później, jeśli to jest potrzebne. Oto na przykład otrzymałem przedwczoraj wiadomość, że na czarnym rynku pojawiła się partia czterech tysięcy koron szwedzkich. A przecież nie był to sezon turystyczny, spuścił je ktoś tutejszy. Pojawiły się w kawiarni „Bristolu“. Porucznik Albinowicz z dewizówki poinformował mnie o tej sprawie, ponieważ prosiłem go, aby każdą większą transakcją, o której będzie wiedział, wziął pod lupę, a przy okazji wspominał mi o niej. Spodziewałem się bowiem, że Maria Visconti mogła mieć oszczędności w koronach czy dolarach, nie w złotych. Pragnęła przecież wyjechać kiedyś z Polski, po zakończeniu kontraktu.

Porucznik Albinowicz referował sprawę z notatek.

— Ten gość — tak nazywał się — przyszedł na kawę. A potem udawał, że nie ma innej waluty, tylko korony. Kelner, nie w ciemną bitę, nie chciał przyjąć banknotów, żądając polskiej floty. I wtedy zjawił się Maks, wiesz który.

— Wiem. Mów.

— Pożyczył facetowi setkę, żeby było czym zapłacić, a sam przysiadł się do niego. Pogawędzili, wypili po koniaku, Maks stawał. Moi ludzie usłyszeli, że idzie o kilka tysięcy koron.

— Maks dał się na to wziąć?

— Wyczuł interes. Ten nowy wyglądał na frajera, na takiego szwedzkiego Polaka, co to odwiedził ojczyznę. Ale przy cenie zaczęli się kłócić. Maks zapominał, gdzie jest. Podobno tamten był nieugięty. Chciał po dwadzieścia dwa za koronę, ani grosza mniej.

— Co dalej?

— Dogadali się. Wyszli razem z kawiarni, do hallu „Bristolu“. Tam dokonali transakcji.

— A potem?

— Potem nic. Mamy film. Chcesz, to ci go pokażę.

Oczywiście chciałem. Poszedłem do salki projekcyjnej. Mój Boże, nie było żadnych wątpliwości. Sprzedającym był nasz znajomy, Zawadzki. Dlatego wezwałem go dziś na przesłuchanie.

— Chciałaby dusza do raj, ale dolarów nie dają — to były jego słowa, pełne tupetu.

— A korony panu nie wystarczały, panie Zawadzki?

— Jakie korony?

— No te, od pani Visconti. Cztery tysiące. Szwedzkie.

— Nie rozumiem... — pobladł gwałtownie.

— Korony jak dolary, można za nie kupić w Pekao samochód. Tylko że jak już je pan miał, zaczął się ich bać. Nie wiedział pan, czy czekać cierpliwie, aż sprawa ucichnie, czy się ich pozbyć. Trzymać w domu niebezpiecznie, bo jak znajdziemy, to nic pana nie uratuje. Więc wolał pan sprzedać. Polskie pieniądze o niczym nie świadczą. Szwagier przysiągłby, że dał je jako spłatę z gospodaraki. Tak miało być, panie Zawadzki?

— Nie... to niemożliwe... jakieś nieporozumienie — szeptał przerażony. To, co mówiłem, było dla niego miażdżącym cio-

sem. Nie oczekiwał, tak myślałem, że sprawa wyjdzie na jaw, wierzył, że nigdy się o niej nie dowiemy.

— Czy przyznaje się pan do nielegalnej sprzedaży czterech tysięcy koron szwedzkich, które były własnością Marii Visconti?

— Nie! Nie!

— Mamy ciekawy film, proszę pana. Idziemy, pokażę panu.

Bezwolnie szedł za mną. W salce projekcyjnej w milczeniu patrzył na ekran. Potem, gdy wróciliśmy do mego gabinetu, nie odzywał się przez jakiś czas. Czekalem, co postanowi. Trwało to jednak zbyt długo. Powiedziałem więc:

— Mamy też tego człowieka, który kupił walutę od pana. Nazywają go Maks. Nie wyprze się pan tej historii.

Zawadzki milczał.

— Powiem panu, jak to było. Po wyjściu z mieszkania Marii Visconti zaczął pan gdzieś w pobliżu, aż wszyscy opuszczają dom. Wiedział pan, że Rylski z Joanną pójdą do niej, o piętro wyżej. Pozostawał więc tylko Majewski i ta dziewczyna z „Continentalu“. A kiedy redaktor, a później ona poszli sobie, pan wrócił do Marii Visconti.

— Nie! — zawołał Zawadzki.

— Pan wiedział, gdzie chowała swoje korony. Kiedy otworzyła drzwi, wepchnął ją pan do pokoju, uderzył czymś ciężkim w głowę.

— Nie!

— A potem spokojnie przeszukał pan pokój. Znalazł pan pieniądze i wyszedł przez nikogo nie zauważony. Tak było?

— Nie!

— Ale pan miał jej pieniądze. To pan je sprzedawał. Dlaczego?

Milczał przez chwilę, łapiąc oddech jak ryba na piaszczystym brzegu.

— To było inaczej — powiedział rwącym się głosem. — Ja wtedy naprawdę poszedłem do domu. I nie zostałem na ulicy ani nie zamordowałem Marii. Ona wiedziała, że ja chcę sobie kupić dobry samochód. Przekazała mi te pieniądze przez redaktora Majewskiego. Miałem jej zapłacić po dwadzieścia dwa złote za ko-

ronę. Szwagier rzeczywiście obiecywał mi przywieźć splate za grunt.

— Ile?

— Sto pięćdziesiąt tysięcy.

— Sporo.

— Widzi pan? — ucieszył się Zawadzki, jakby od tego, że tych pieniędzy było mało, zależała jego niewinność.

— Kiedy Majewski wręczył panu korony?

— Trzy dni przed śmiercią Marii.

— To wszystko trzeba sprawdzić — powiedziałem. Nie wierzyłem temu człowiekowi, ale nie miałem prawa kierować się swymi uprzedzeniami.

— Wiedziałem, że pan mnie wypuści — Zawadzki o mało nie zaszlochał z radości, dławił się słowami. — Dziękuję panu, panie kapitanie, moja rodzina, moja żona i dzieci...

— Zostanie pan w areszcie — przerwałem. — Sprawę wyjaśnimy. A jeśli nie zamordował pan Marii Visconti ani nie brał udziału w tym morderstwie, będzie pan wolny. Lecz za handel walutą odpowie pan i tak. Tylko że ja już nie będę miał z tym nic wspólnego.

Zawadzki był drugim, którego dla dobra śledztwa zmuszony byłem zamknąć w areszcie. Jutro prokurator z pewnością wyda nakaz aresztowania, w tej sprawie jest zbyt wiele ciemnych stron. Najciemniejszą była tragiczna śmierć Marii.

4

— Czy może mi pan powiedzieć, jak pan doszedł do posiadania swego volvo? — zapytałem redaktora Majewskiego. Zaprosiłem go na rozmowę telefonicznie, bez zbędnych pisemek i formularzy, ale wiedział, że odmówić mi nie może. Przyszedł punktualnie.

— Czy to coś złego? — odparł pytaniem na pytanie. Zauważył, że spojrzałem na niego z ukosa i szybko zaczął mówić. — Nabyłem go na giełdzie samochodowej. Mam rachunek.

— Za co?

— Za pieniądze, oczywiście. Posiadałem oszczędności — dodał pośpiesznie, aby za-

trzeć wrażenie nieestosownego żartu. — Pracuję ponad dwadzieścia lat. A drogę samochodziarza zacząłem od trabanta. Potem był wartburg. Gdy zmarł mój ojciec, właściciel sporego gospodarstwa, sprzedałem je i tak oto powstała fortuna wystarczająca na zakup tego samochodu. Volvo to dobry wóz.

— Sprawa wygląda prawdopodobnie — odparłem z lekkim wahaniem.

— Ona nie tylko tak wygląda. To jest prawda.

— Jasne. A jakie stosunki finansowe łączyły pana z zamordowaną? — rzuciłem to pytanie właśnie teraz, w momencie gdy Majewski czuł się niemal bezpieczny.

— Nie rozumiem? — zdziwił się. — O co panu chodzi?

— O to, że uczestniczył pan jako pośrednik pomiędzy nią a innymi osobami — specjalnie użyłem liczby mnogiej — przekazując pewne sumy w walucie szwedzkiej do sprzedaży.

— To ciężkie oskarżenie — odparł, trąc dłonią zmarszczone czoło. Nie zdziwił się, nie zaprzeczył, zastanawiał się, jakby szukając w myślach jakiegoś wyjścia z tej sytuacji.

— Czy mam panu dopomóc i przypomnieć?...

— Nie! — przerwał mi. — Domyślam się, o co chodzi. Trzy dni przed śmiercią Maria prosiła mnie o przekazanie czterech tysięcy koron technikowi Zawadzkiemu. Miał za nie kupić wóz w Pekao. To wszystko, co wiem w tej sprawie.

— Dlaczego sama tego nie uczyniła?

— Przypuszczam, że chciała mieć świadka, po prostu jakiś dowód tej pożyczki.

— Pan to nazywa pożyczką... — przeciągnąłem ostatnie słowo. — A tymczasem waluta została sprzedana nielegalnie, a pan stał się pośrednikiem w tej transakcji.

— Nic o tym nie wiem. A pożyczka nie jest chyba karalna, jeśli się nie myłę.

— Pan Zawadzki mówił jedynie o sprzedaży i o tym, że korony otrzymał od pana.

— Nie wiem, co on zeznał, ale wiem, co ja zrobiłem. Spełniłem prośbę Marii. Nigdy więcej — ani przedtem, ani potem — nie brałem udziału w żadnych tego ro-

dżaju sprawach, nigdy nie handlowałem obcymi walutami — uśmiechnął się z goryczą — nie kupowałem ich ani nie sprzedawałem nikomu. Proszę to zaprotokołować.

Protokolant pisał z przejęciem. Nie patrzył ani na mnie ani na podejrzanego, był już tylko samą pracą, pamięcią i dłonią wodzącą po papierze tak szybko, jak tylko było to możliwe. Spojrzałem na chłopaka. Miał ze mną sporo roboty. Był nowy. Niech się uczy.

— Powiedział pan: nigdy przedtem ani nigdy potem. — Przerwałem dla nabrania tchu. Serce waliło mi mocno. — Czy to oznacza, że po śmierci Marii Visconti, to znaczy potem, wydarzyło się coś, co miałoby jakiś związek z jej pieniędzmi? Co pan o tym wie?

— Nic, panie kapitanie. — Majewski zacisnął wargi. — Użyłem tej formy bez specjalnego znaczenia. W każdym razie podkreśliłem, że o fakcie pożyczki wiedziała, oprócz mnie i samego Zawadzkiego, także Joanna i może nawet Ryłski.

— Dlaczego użył pan słów „może nawet“?

— Bo to niepoważny człowiek — odparł Majewski.

Zamyśliłem się. Poczęstowałem redaktora papierosem, sam zaciągnąłem się również. Palilem powoli, zyskując trochę czasu do namysłu. W istocie rzeczy zeznanie Majewskiego nie stało w sprzeczności ze słowami Zawadzkiego. Tamten mówił właściwie to samo. Zgadzały się daty przekazania pieniędzy.

— A czym pan tłumaczy fakt, iż Zawadzki zamiast kupić wymarzony samochód, usiłował sprzedać korony?

— Maria nie żyła. Jeśli pozbyłby się waluty, wówczas moje słowa o pożyczce, której mu udzieliła, byłyby tylko jak czek bez pokrycia. Bo gdzie owe korony? Brak dowodu.

— Sądzi więc pan, że ich nie chciał zwrócić?

— Tego nie powiedziałem. To tylko jedna z możliwych wersji sprawy.

— A jak Zawadzki zamierzał spłacić pożyczkę? W złotych?

— Nie wiem. Chyba tak.

— Czy nie orientuje się pan, panie Majewski, w jaki sposób Maria doszła do tych koron? Przywiozła je ze Szwecji? Trochę ryzykowne, jeśli nie zgłosiła tego przy odprawie celnej, nie sądzi pan?

— Nie wiem.

— A co robiła z zaoszczędzonymi polskimi pieniędzmi? Przecież miała jakieś oszczędności, czyż nie tak? Pan powinien o tym wiedzieć.

— Nic mi o tym nie wiadomo.

— Tych pieniędzy nie ma w jej mieszkaniu. Nie było także żadnych książeczek PKO. Tylko pięć tysięcy złotych, zapewne część pensji. To wszystko.

— Nic nie wiem o tej sprawie — powtórzył Majewski.

— A czy Maria Visconti pragnęła wyjechać z naszego kraju? — postawiłem to pytanie, czekając pilnie, co odpowie dziennikarz.

— Jej kontrakt już się kończył. Podobno miała zamiar przedłużyć umowę. Tak mi powiedziała. Ale nie wiem, czy był to jej rzeczywisty zamiar, chociaż sądzę osobiście, że tak.

— A gdyby przyjął, że pani Visconti pragnęła wyjechać. Wówczas wolałaby chyba wywieźć ze sobą korony szwedzkie. Nie sądzi pan?

— To nonsens. Wreszcie w jaki sposób by je zdobyła?

— Przy czyjejś pomocy. Na przykład przy pańskiej pomocy, panie Majewski. — Patrzyłem mu prosto w oczy. Nie zmrużył powiek, wytrzymał to spojrzenie.

— Byłaby to tylko przyjacielska przysługa — odparł po chwili. — Bez chęci zysku.

— Ale sprzeczna z przepisami tego kraju — uzupełniłem. — Poza tym zaś lepiej byłoby się przyznać do tego, niż utrudniać nam prowadzenie śledztwa. I to w takiej sprawie, o morderstwo.

— Pan usiłuje mnie zastraszyć.

— Przepraszam, jeśli tak mnie pan rozumiał. — Pomyślałem, że zrozumiał właściwie. — A ta przyjacielska przysługa, moim osobistym zdaniem, nie jest specjalnie naganna. Pod jednym wszakże warunkiem.

— Pod jakim?

— Że koron nie było więcej niż cztery tysiące, panie Majewski.

— Nic o tym nie wiem.

— Więc pan nie może nam pomóc?

— Nie!

Odwróciłem się do protokolanta.

— Proszę wprowadzić tego człowieka.

Milicjant wyszedł, aby za moment wrócić do mego gabinetu z Maksem. Waluciarz, przejęty własną przegraną, starał się uczynić, co tylko mógł, aby zmniejszyć swą winę.

— To był jeden jedyny raz, panie kapitanie — mówił mlaskając wilgotnymi wargami. — Czy za jeden raz można człowiekowi marnować życie? Czy to po ludzku, proszę pana?

— O tym potem — przerwałem mu wylewną orację. — A teraz słuchaj, Maks. Spójrz dokładnie wokół siebie i powiedz, кого znasz z obecnych w tym pokoju.

— Z obecnych? — usiłował zyskać na czasie. — No, przede wszystkim pana kapitana. To raz.

— A poza tym?

— Poza tym? No cóż. Tego młodego pana, co pisze protokół, to ja nie znam.

— Rozumiem.

— No a pana redaktora Majewskiego to ja znam, bo cała Warszawa go zna, panie kapitanie — wydusił z siebie z wyraźnym wysiłkiem. Chciał być w porządku wobec nas obywateli.

— Rozumiem.

Maks patrzył na mnie z niepokojem. Lękał się, że nie wszystko gra. Czekał więc na dalszy ciąg.

— Te korony szwedzkie — powiedziałem powoli — wiesz, te, przez które wpadłeś, odkupiłeś po dwadzieścia dwa złote. A to były te same korony, które sprzedałeś panu redaktorowi — zabluffowałem. — Przelicz sobie, ile na tym straciłeś. Umiesz liczyć?

Maks stał nieruchomo, poruszając wargami, jakby rachował jakieś sumy albo się modlił. Raczej to pierwsze. Aż dźwięk bierze, że taki prostak potrafił pracować w tej branży.

— Osiem tysięcy — szepnął wreszcie i poblądł. To była wściekłość.

— Wykiwał cię — zaśmiałem się.

— To kłamstwo! — zawołał Majewski.

— Pan zastosował metodę niegodną! To szantaż!

— To konfrontacja — odparłem. — O zamiarze wyjazdu Marii Visconti wiem z Wydziału Spraw Osobowych Telewizji. A o jej oszczędnościach powiedziała mi lista wypłat w kasie tej instytucji, zestawiona z trybem życia. Duże zarobki plus zwykłe życie muszą dać w sumie nadwyżkę, czyż nie tak?

— I była nadwyżka — wtrącił się Maks.

— Ten pan kupił ode mnie pięć tysięcy, a ja odkupiłem cztery.

— Gdzie ten tysiąc, panie Majewski? — zwróciłem się do blednącego z sekundy na sekundę człowieka. — U pana?

— U mnie — odparł z wysiłkiem. — Pożyczyłem od Marii. Miałem kupić nowe opony, trochę detali. Korony są w domu.

— A dlaczego denatka raz skupowała korony, to znów je rozpozyczała, godząc się na zwrot w złotych? Może trzeba byłoby oddawać dług także w walutach?

— Wahała się, czy nie przedłużyć kontraktu. I właśnie kilka dni przed śmiercią to uczyniła. Oświadczyła kierownictwu, że może zostać dłużej, jeśli to dogadza telewizji. Dlatego przestało jej zależeć na koronach.

— Rozumiem.

— Więc wszystko jasne? — zapytał z nadzieją w głosie.

— Nie sądzę. Odprowadźcie — rozkazałem protokolantowi, aby odstawił Maksa tam, skąd go zabrał.

— O co jeszcze panu chodzi? — zdenerwował się Majewski.

Podaliśmy mu papierosa, zapaliliśmy. Czekałem w milczeniu na powrót mego współpracownika. Gdy zjawił się, powiedziałem:

— Pan jeden, panie Majewski, owego wieczoru miał wóz do dyspozycji. To się zgadza?

— Tak...

— I pan jeden wiedział, że Maria Visconti ma w domu tysiąc koron. Był pan podniecony alkoholem. Potrzebował pan tych pieniędzy.

— Ależ Maria pożyczyła mi je przedtem! — zawołał.

— Czy ma pan świadków?

— A czy pan może mi udowodnić, że to ja dokonałem rabunku?

— Istnieje wiele poszlak świadczących przeciwko panu — odparłem. — Jedną z nich jest pasmo kłamstw, które pan stosował, aby wprowadzić w błąd śledztwo. A drugą możliwość szybkiego poruszenia się po mieście owej nocy za pomocą samochodu. Pan mógł nawet spod własnego domu zawrócić pod dom, w którym mieszkała Maria. Uczestniczył pan w jej interesach walutowych. Ma pan od niej tysiąc koron szwedzkich. Kto wie, co jeszcze znajdziemy u pana przy rewizji. I co powie dla nowi świadkowie, mieszkańcy ulicy Dobromila, gdy zaczniemy się pytać, czy nie widzieli nad ranem samochodu marki volvo podjeżdżającego lub stojącego pod domem numer 244.

— Czy oznacza to, że jestem aresztowany?

— Do wyjaśnienia — odparłem ze spokojem. — Sprawa Marii Visconti nabiera bowiem nowych aspektów.

5

Rewizja w mieszkaniu redaktora Majewskiego nie przyniosła żadnych rewelacji. Tysiąc koron szwedzkich oczywiście znaleźliśmy. Zresztą nie trzeba było długo szukać, leżały w szufladzie otwartego biurka. Na nim, obok ciężkiej, brązowej lampy stała w niklowej oprawce podobizna Marii Visconti. Uśmiechnięta, patrzyła na mnie jak żywa. Prawdę mówiąc, fotografia właściwie nie była najlepsza, kobieta uśmiechała się nieco sztucznie, ale mimo wszystko wydało mi się, że zaczynam rozumieć redaktora Majewskiego. Można ją było kochać, nawet z oddalenia, warto było zrobić dla niej wszystko, o co poprosiła, aby zasłużyć na jej wdzięczność, należało może nawet ryzykować dobrym imieniem, aby tylko zyskać szansę powrotu Marii.

Otrząsnąłem się. Idiotyczne myśli! W ten sposób można wszystko usprawiedliwić, znaleźć wytłumaczenie każdego przestępstwa. A tymczasem te romantyczne

dyrdymałki mogą mieć jakiś sens w odniesieniu do Eryka, bo to chłopak, co jeszcze życia nie zaznał, lecz nie w stosunku do dojrzałego, statecznego mężczyzny w wieku... W jakim wieku? Nie chciało mi przejść przez gardło, że w moim wieku, tak, tak, bo to byłoby przyznanie się do nie zasłużonej niczym porażki. Dojrzałość kojarzy się z końcem czegoś, co było świeże, po prostu z odejściem młodości. Dojrzałość, czyli początek starości, jeszcze niezauważalnej, ale już obecnej, już postępującej lekko we drzwi, aby ją wpuścić do domu...

Byłem w nie najlepszym nastroju. Maria Visconti. Kobieta, która miała tyle twarzy, z iloma ludźmi rozmawiałem o niej. Każdy z nich widział w niej kogoś innego, choć większość znała ją dobrze. Jedno nie ulegało wątpliwości: była piękna. Ale czy szlachetna i dobra, jak wierzył Eryk? Nie byłem tego taki pewny. Czy należała do osób, które — szukając mocnych wrażeń — sięgają bez specjalnych oporów po coraz nowych partnerów — jak uważała Joanna i chyba także trochę Ryłski oraz plastyk z parteru? Czy może istotnie szukała miłości, prawdziwego uczucia, które niemal zawsze jest nieosiągalne, bezbronna w tym instynktowym dążeniu jak nagi owad? Tak ją rozumiała aktorka, pani Kwitecka, wbrew poglądom własnego męża. A za kogo Marię uważał Majewski? Nie mówił o tym nigdy. Miał jej fotografię na biurku, mimo iż porzuciła go bezpowrotnie. Dla Marii naraził się na konflikt z prawem, uczestnicząc w handlu walutą. Poświęcić się dla kogoś, to znaczy uznać, że ktoś jest tego wart.

Nie wiedziałem, co mam począć z tą sprawą. Zamordowana kobieta przekroczyła polskie prawo, dokonywała nielegalnych transakcji. Czy była to sprawa jednorazowa, przypadkowa, jak przedstawiał ją redaktor Majewski, czy może kryło się za tym coś więcej, jakiś bardziej rozległy system przestępczego działania, którego jedno ogniwo odnalazłem właśnie dlatego, że ktoś zamordował Marię Visconti?

Miałem w komplecie właściwie całe to-

warzystwo, w jakim przebywała ta kobieta. Fiński student, Eryk, najbardziej zagrożony, bo to on właśnie był ostatnim człowiekiem, który znalazł się w mieszkaniu Marii Visconti sam na sam z nią. Żywa czy martwa? Musiał się tam znaleźć po drugiej godzinie w nocy, a już po odejściu owej dziewczyny z „Continentalu“. Gdybyśmy ją odnaleźli, wszystko byłoby jasne. Wedle orzeczenia lekarskiego śmierć nastąpiła w porze, w której on właśnie mógł tam być. Ale o której naprawdę wyszedł ze swego mieszkania? Czy gospodyni nic nie zauważyła?

Przejrzałem raz jeszcze protokoły zeznań. Wdowa po dziennikarzu, gospodyni Fina, nie potrafiła nic dokładnego na ten temat powiedzieć. Protokolant zanotował: „...a czy sublokator wychodził tej nocy albo nad ranem z mieszkania, tego dokładnie powiedzieć nie mogę...“

Cóż to właściwie znaczy? Przeczytałem raz jeszcze. Wdowa po prostu dawała do zrozumienia, że nie jest pewna, czy Eryk wychodził z domu, czy nie. Może więc wiedziała o czymś, o czym bała się zeznać do protokołu? Cóż to było?

Pojechałem natychmiast do jej mieszkania. Gospodyni studenta z przestachem słuchała moich słów, zaprzeczając bez przerwy, niemal machinalnie:

— Nie, nic nie wiem, nie, proszę pana...

I wtedy użyłem argumentu najcięższego kalibru.

— Proszę pani, niechże mnie pani uważnie wysłucha. Eryk jest poważnie podejrzany o dokonanie tego czynu. Był w mieszkaniu denatki, potwierdziły to ślady jego palców, sam zresztą przyznał się do tego. Pani zeznała, że nic pewnego nie wie o jego wyjściu. To przecież nie oznacza, że pani nie wie nic. Pani tylko nie jest czegoś pewna. Od tego, co pani sobie przypomni i co zechce nam powiedzieć, zależy bardzo wiele. Może życie młodego chłopca.

— Nie, proszę pana, ja bardzo proszę...

— A gdyby to był pani syn? I gdyby ktoś taki jak pani odmawiał mu pomocy?

— A co będzie, jeśli zaszkodzę mu, zamiast dopomóc?

— Musi pani zeznać prawdę.

— Już powiedziałam wszystko.

— Nie.

Gospodyni siedziała nieruchomo na fotelu, nie ocierając kropli potu spływających jej z czoła.

— On oczekuje pani pomocy.

Przez chwilę patrzyła na mnie oczyma pełnymi rozpaczy.

— Eryk przez całą noc nie spał. Chodził po swoim pokoju. Ja mam bardzo lekki sen.

Przerwała na moment, aby zaczerpnąć tchu.

— O której wyszedł z mieszkania?

— Zanim jeszcze rozniesiono mleko. Szarżało za oknami. Nim usłyszałam dzwonienie butelek, nie upłynęło zbyt wiele czasu. Mogło więc być nawet około wpół do szóstej.

— A kiedy wrócił?

— Zaraz. To nie trwało dłużej niż kilka minut.

— Jest pani pewna?

— Chyba tak. Był już z powrotem, kiedy mleczarka postawiła butelki pod drzwiami. A ona jest punktualna. Przynosi mleko po wpół do szóstej.

— Czy zdarzyło się coś charakterystycznego, o czym jeszcze nie wiemy?

— Biegł po schodach, przeskakiwał po kilka stopni, wpadł do domu ciężko dysząc. Ale drzwi otworzył ostrożnie. Słyszałam w korytarzu jego świszczący oddech, potem zamknął delikatnie zamek i wszedł do swego pokoju.

— Czy ktoś z domowników może to potwierdzić?

— To tylko ja muszę wcześniej wstać, panie kapitanie.

— Rozumiem. I dziękuję.

— Czy będę jeszcze raz wzywana do panów?

— Zobaczymy. Jeśli to się okaże konieczne.

Zastanawiałem się nad tym, co mi opowiedziała gospodyni Eryka. Gdyby założyć, że oboje mówią prawdę, to właściwie ich zeznania uzupełniają się wzajemnie.

Student wyszedł z domu tylko na chwilę. Szedł zapewne wściekły, może chciał zrobić Marii awanturę. Przekroczył próg jej domu nie zastanawiając się, że drzwi zastał otwarte. Zobaczył ciało, chciał uciekać, zawrócił. Podniósł kobietę z ziemi, okrył kocem-narzutą i dopiero wówczas wybiegł. Czy to wszystko musiało trwać dłużej niż zaledwie kilka minut? Sądzę, że gospodyni Eryka mówiła prawdę. Fin był nieobecny tylko przez bardzo krótki czas. Więc chyba nie mógł wówczas dokonać zbrodni. Na pewno nie mógł. Nie był zawodowcem. A walka z kobietą musiałaby trwać jakiś czas. Eryk jest więc pozornie najbardziej podejrzany, ale zarazem najbardziej moim zdaniem niewinny z nich wszystkich, jeśli oczywiście wdowa mówiła prawdę.

Gdybym miał wreszcie tę dziewczynę z „Continentalu“... Wyjaśniłoby to wiele istotnych spraw. Przede wszystkim, kiedy opuściła mieszkanie Marii Visconti, bo przecież dopiero potem musiał się dokonać ostatni akt tej ciemnej tragedii. I czy czas pomiędzy jej odejściem a przybyciem Eryka był dostatecznie długi, aby pomieściła się w nim wizyta prawdziwego mordercy? Czyja? Jeśli nie Eryk, to kto? Rylski? Zawadzki? Majewski?

Rylskiemu nic zarzucić nie można. Od chwili, gdy wyszedł z Joanną, nie rozstał się z nią aż do czasu, gdy odkryli zwłoki przyjaciółki. Zawadzki, zapłatany co prawda w aferę walutową, został właściwie oczyszczony z najcięższego zarzutu przez redaktora Majewskiego. To Majewski bowiem potwierdził, że Maria Visconti pożyczyła technikowi cztery tysiące koron. Tym samym odpadał motyw zbrodni z chęci zysku. Morderstwo zaś zmierzające do tego, aby dłużnik nie musiał oddać należności wierzycielowi jest hipotezą teoretycznie możliwą do przyjęcia, ale mało prawdopodobną. Sprawę znał przecież redaktor. A Zawadzki istotnie miał wkrótce otrzymać pieniądze od szwagra. Jego żona stwierdziła, że oprócz tego mieli trochę własnych oszczędności, owe dwie książeczki samochodowe i dwadzieścia tysięcy złożonych w PKO na książeczce pięcioprocentowej. Myślę, że technik nie potrzebował morderać Marii Visconti.

Z niechęcią musiałem przyznać, że w istocie rzeczy najbardziej podejrzany pozostał redaktor Majewski. Byłem prawie pewny, że będę musiał wypuścić z aresztu Fina, uwolnienie Zawadzkiego to prosty obowiązek, z którego wypełnieniem nie wolno zwlekać. A czy prokurator zechce zatrzymać technika z powodu handlu szwedzkimi koronami, to już nie moja sprawa.

Redaktor Majewski. Z jakąż niechęcią myślałem o tym, że krąg poszlak otacza go coraz ciasniej, jak pętla konopnej liny. Wstrząsnęła mną odraza, poczułem litość. Jeśli nawet zabił Marię, zrobił to nie dla owych nędznych koron. Gniew tryskający z zazdrości jak ze źródła — to bardziej odpowiadało memu wyobrażeniu o charakterze Majewskiego. A więc w gniewie, nie z premedytacją.

I chyba tak właśnie być musiało, skoro Maria Visconti zginęła, rzucona na podłogę. Było w tym coś odrażającego. Ta śmierć miała jakby na celu poniżenie ofiary i równocześnie obnażać straszliwą pustkę w sercu i mózgu człowieka, który w tym momencie stracił prawo do tej nazwy. A jednak był nim, żył wśród nas. Dlaczego musiałem się z nim zetknąć?

Moje długoletnie doświadczenie nauczyło mnie, że niewiele wiemy o drugim człowieku, dopóki nie stanie on wobec spraw najważniejszych, w obliczu bólu, zagrożenia lub zgonu. A naprawdę wszystko wychodzi z niego na wierzch, gdy zetknie się twarzą w twarz ze śmiercią drugiego człowieka. Sięga zaś własnego dna, gdy tę śmierć zadaje.

Ci wszyscy ludzie stanowili ogniwo łańcucha, którym przykuje mordercę do trumny ofiary. Ale brakowało w nim jednego, o nieznaney wytrzymałości ogniwa — dziewczyny. Teraz, gdy struktura sprawy wydawała mi się dostatecznie przejrzysta, zbudowana z wystarczająco dokładnie pasujących do siebie elementów, postanowiłem skupić całą uwagę na odnalezieniu tego ostatniego łańcucha.

Porozumiałem się jeszcze raz z szefową obyczajówki. Poprosiłem o bardziej intensywną penetrację znanych miejsc spotkań, kawiarni i restauracji. Fotolaboratorium

już wcześniej dostarczyło dostateczną ilość fotografii — rysunku, odtwarzającego wygląd poszukiwanej dziewczyny na podstawie zeznań uczestników przyjęcia, zwłaszcza zaś opisu Majewskiego.

— Nie robimy nic innego — mruknęła, ale zaraz uśmiechnęła się. — Ta dziewczyna to jakaś uciekiniarka z dobrego domu?

— Nie. Jest zaplątana w morderstwo.

— Wszystko jasne. Jeśli tylko znajduje się w Warszawie, będziesz ją miał.

— Nie przechwalasz się?

— Chyba że gdzieś się zamelinowała. Ale kiedy koleżanki dowiedzą się, że chodzi o mokrą robotę, nie będą jej dłużej trzymać.

— No to powodzenia.

— Cześć! — zaszalowała prawidłowo, energicznie, jak mężczyzna. Zawsze mnie to trochę krępowało — kobieta w mundurze. Ale ta była na swoim miejscu, a mundur pasował do niej jak najlepiej skrojona sukienka.

Wróciłem do swego gabinetu zamyślny. Coś mnie dreczyło. Właściwie nic nie pozwalało wykluczyć możliwości, że owa dziewczyna, którą Majewski podłapał w hallu „Continentalu“, to uczestniczka zbrodni, więcej — mogła współdziałać z Majewskim aktywnie. A jeśli prawdą jest, że Maria Visconti miała jasnobrazowy neseser z monogramem, zapewne zabrali go dla upozorowania rabunku, podobnie jak owe spodnie. Spodnie? Zastanowiłem się. Komu potrzebne są takie spodnie? Nic więcej nie zginęło z mieszkania: ani pierścionki, ani pieniądze, tylko te dwa przedmioty — walizka i spodnie. Ów nonsensowny zestaw — pusta walizka i część garderoby — zdawał się świadczyć o irracjonalnym podłożu kradzieży. Wyobraziłem sobie, że Majewski kazał tak postąpić dziewczynie, aby zagmatwać sprawę, zmylić nas i wprowadzić na fałszywy ślad. Zatem on właśnie wie, co stało się z dziewczyną. A może postarał się zatrzeć i ten ślad?

Chwyciłem za telefon i przywołałem do siebie porucznika Możejkę.

— Słucham? — trzasnął obcasami. Zawsze udawał służbistę, mimo iż znaleźmy się wiele lat i przyjaźnili.

— Pamiętasz, dałem ci polecenie, aby każdą dziewczynę, która zginęła w wypadku albo w jakiś inny sposób sprawdzać, czy to nie ta, której szukamy?

— Tak jest.

— I co?

— I nic. Zawsze to był ktoś inny.

— Jak sprawdzasz?

— Były trzy wypadki. Raz wpadli pod samochód dwie dziewczuszki z przedszkola. Raz znaleźliśmy samobójczynię. O wiele starsza. Ale fotografię pokazałem do rozpoznania tej dziennikarce z telewizji.

— Polecenia nie odwołuję. Działaj dalej.

— Jasne. — Możejko uśmiechnął się. — Nie martw się, stary. Trochę kłopotów? Ale oliwa zawsze na wierzch wypływa.

— Jaka oliwa? — zdziwiłem się.

— No wiesz, tak się mówiło, kiedy byłem dzieckiem — zmieszał się. — Czy mogę odejść?

— Spłyni!

Oliwa! Też porównanie! Znałem je także, ale zaskoczony, nie od razu uświadomiłem sobie, że porucznik powtarza przysłowie. Kiedy byliśmy dziećmi...

Dziewczyna wyglądała jak dziecko — myśl ta przybiegła sama. — Dlaczego więc nikt nie wszczął poszukiwań, nikt nie zgłosił jej zaginięcia? Albo uciezki?

Zatelefonowałem do dyżurnego oficera komendy.

— Tak jest, słucham?

— Sprawdzić, czy w ostatnich dwóch tygodniach nikt nie zgłosił, że uciekła z domu albo zaginęła dziewczyna lat mniej więcej osiemnastu—dziewiętnastu, blondynka, drobnej budowy.

— Sprawdzę.

— A gdyby nie było zgłoszenia, daj meldunek do komend dzielnicowych, czy ten opis nie pasuje do kogoś, z kim mieli już kłopoty tego rodzaju.

— Zgoda.

— O to zgłoszenie zapytaj także komendy wojewódzkie.

— Zgodę załatwisz?

— Załatwię — odparłem pewny, że stary nie będzie stawiał przeszkód.

Usiadłem, aby odetchnąć. Gdyby zbrodni dokonała ona, ta dziewczyna, wówczas

z całą pewnością niewinny jest Eryk oraz Zawadzki. Ona też może w sposób ostateczny wyjaśnić, czy Majewski był mordercą. Ona także może uwolnić go od wszelkich podejrzeń. Ale tylko pod jednym warunkiem...

Odrzuciłem tę możliwość, to znaczy zanotowałem ją jako mało realną hipotezę. Wstrząsnął mną dreszcz. Jeśli nie Majewski, byłaby to zbrodnia bez najmniejszego sensu. Kurczak, chuchro — przypomniałem sobie, co mówiono na jej temat i wzruszyłem ramionami. Współudział, aktywne uczestnictwo, zgoda, ale nic innego. Po prostu ona nie miałaby w tym żadnego interesu, nie mówiąc już o braku sił fizycznych. A interes i siły miał Majewski. I motyw silniejszy niż wartość owych głupich koron: miłość, która została odrzucona, zazdrość wiecznie podsycana trybem życia Marii, narastająca chęć zemsty. W ten sposób można to było wytłumaczyć. I tego się trzymałem.

IV

1

Nareszcie ją miałem. Piątego dnia od zamordowania Marii Visconti patrol milicyjny około godziny osiemnastej chciał zatrzymać dziewczynę, która wychodziła z herbaciarni „Pod Samowarem“. Zaczęła biec. Schwytano ją w pasażu na zapleczu domów towarowych. Doprowadzona siłą do sekretariatu dyrekcji, usiłowała wytłumaczyć swe zachowanie tym, że zlekka się milicjantów. Tłumaczenie było naiwne. Dziewczyna nosiła imię Danuta. Długo kręciła, nim wydostałem z niej, kim była i gdzie mieszkała. Nie miała żadnych papierów, więc mogła kłamać. Kazałem natychmiast sprawdzić, czy jej zeznania są prawdziwe. Tak. Była najstarszą córką zaopatrzeniowca wielkich zakładów w M.

Nie uczyła się i nie pracowała. Miała dziewiętnaście lat, choć wyglądała na młodszą. Już dwukrotnie uciekała z domu, ale zawsze wracała po dwóch — trzech dniach.

— Dlaczego uciekałaś? — zapytałem.

Danuta wyglądała na dziewczynę nieśmiałą, miała drobną budowę ciała, długie, proste blond włosy. „Kurczak, chuchro...“ Ta dziewczyna budziła sympatię. Jej matowy, ciepły głos skłaniał do zaufania. Gdybym nie wiedział, kim jest...

— Pan wie — odparła. — No, w domu było nudno...

— W jakiej szkole się uczysz?

— Teraz czy przedtem? — zapytała.

Nie zrozumiałem.

— O co ci chodzi?

— Bo teraz to nigdzie. A przedtem w zasadniczej elektrycznej. Ale tam nie chciałam, bo nie lubię matmy. I fizyki. Zresztą to było dawno.

Przyjrzałem się Danucie. Miała na sobie czarne, błyszczące, poszerzane spodnie i taką samą kamizelkę z zagranicznej dzianiny. Były to spodnie Marii Visconti, te same, których zniknięcia nie umieliśmy sobie wytłumaczyć. Powiem jasno: to ja nie rozumiałem, komu one mogły być potrzebne. A teraz widziałem to na własne oczy. Dziewczyna o delikatnych dłoniach była tego samego wzrostu co Maria. Różniły się kolorem włosów, oczu. Oczu miała jakby wyblakłe, puste, oddalone. Ożywiały się dopiero wówczas, gdy dostrzegała, że uważnie oglądam rysy jej twarzy, postać. Nie rozumiała, że patrzę na nią jak na człowieka, który budzi we mnie lęk swym nadmiernym doświadczeniem; rodziła się we mnie obawa, że nigdy już nie będę mógł spojrzeć na żadną dziewczynę bez podejrzenia, iż wie ona o życiu więcej ode mnie, a grzeczny uśmiech i delikatna postać jest tylko kamuflażem. Otrząsałem się.

Spodnie Marii Visconti. Na razie postanowiłem Danucie nic o nich nie wspominać. Zastanawiałem się tylko, czy domyśla się, dlaczego jej poszukiwaliśmy? I raz jeszcze to pytanie: czy zdjęła spodnie z martwej już właścicielki, czy otrzymała je od niej jeszcze żywej? Jeśli to podarunek,

dłaczego miałyby wobec tego brać udział w morderstwie? Za pieniądze? Jaką sumą Majewski zdołałby ją przekupić? I dlaczego miałyby z nim współpracować? Właśnie. Co skłoniło Danutę do współpracy z Majewskim? Dlaczego nie bał się, że go zdradzi? Mimo tych pytań — zaczynałem pojmować, że on po prostu był niewinny. Winna mogła być tylko jedna osoba.

— Masz pieniądze? — zapytałem.

— Nie mam.

— Kiedy jadłaś ostatni raz? — nie czekając na odpowiedź, poprosiłem sierżanta, aby przyniósł herbatę i kanapki z bufetu. — A gdzie spałaś?

— Dzisiaj nic nie jadłam — odparła. — Spałam, gdzie się dało.

Kanapki połknęła niemal bez gryzienia, herbatę piła małymi łyżkami, parząc sobie wargi.

— Dziękuję panu — powiedziała po chwili. — To ojciec przyjedzie po mnie czy matka?

— A ty jak byś wolała? — Nie wyprowadzałem jej z błędu, niech myśli, że szukaliśmy jej z powodu ucieczki z domu.

— Mnie tam wszystko jedno — odparła beznamiętnie. — I tak będę robiła, co mi się podoba.

— Nie lubisz pracować?

— Nie. To nie dla mnie.

— Łatasz z chłopakami? — zadałem to pytanie, chociaż powinienem spytać o coś o wiele gorszego. Nie umiałem przełamać wewnętrznego oporu.

— Czemu nie? Jestem ładna, no nie? — wyprostowała się na krześle, patrzyła z tryumfem na mnie, na protokolanta. Była śmieszna, pusta, głupia.

— Za pieniądze?

— A co to grzech, jak ktoś postawi wino?

— Ile brałaś? — zdenerwowałem się. — Pięćdziesiąt złotych, sto?

Milczała. Zacięła się. Postanowiła nie odpowiadać. Jeśli tak, to trudno.

— Mam tu zeznanie jednego pana, że umówił się z tobą na noc i miał zapłacić dwieście złotych.

— Ja tych pieniędzy nie wzięłam! — zawołała. Potem zamilkła. Zrozumiała, że dała się podejść. Ale nie rozumiała, skąd

o tym wiemy i czy rzeczywiście chodzi o Majewskiego. Nie wymieniła jego nazwiska, nie pamiętała go zapewne, ale o nim myślała, gdy powiedziała:

— Ten pan czy inny, jeśli był grzeczny i spokojny, to mogłam z nim pójść na kolację. Inne idą spać i też dobrze — zachichotała.

— On cię spotkał w „Continentalu“ — rzuciłem jakby od niechcenia. — Zawsze tam urzędujesz?

— W „Continentalu“? — Jej twarz stężała, straciła wszelki urok. — Nigdy tam nie byłam. Czego pan chce ode mnie?

Pomyślałem sobie, że dziewczę powinno przemyśleć tę sprawę. Ostatecznie, gdy już udało się nam Danutę odnaleźć, mogę ją przesłuchać po jakimś czasie. Brakujące ogniwo łańcuszka mam, pytanie polega tylko na tym, czyje ręce skują nim jak stalową bransoletką?

2

To, że Danuta znalazła się w areszcie, nie było rzeczą przypadku. Puszczonej w ruch machina działała równocześnie z moimi przesłuchiwaniem osób, z którymi po raz ostatni w życiu przebywała Maria Visconti. Czwartego dnia śledztwa zatrzymano na bazarze Różyckiego znanego w tej dzielnicy Antoniego Petera z nesese-rem z jasnobrazowej skóry, noszącym wyraźny ślad po oderwanym monogramie. Walizka zawierała nieco zagranicznej bielizny damskiej, sweterek, granatową bluzkę elastyczną. Zapytany, skąd ma te przedmioty i co z nimi tutaj robi, bez specjalnych wykretów przyznał, iż pragnie je sprzedać. A otrzymał je wraz z poleceniem spieniężenia od jednej takiej, która spała u niego trzy noce, a teraz wyszła. Dokąd, nie wiedział. Nie znał jej nazwiska, nie potrafił opisać wyglądu.

— Taka tam, czarniawa — mówił odpowiadając na moje pytanie. Siedział w pozie nieco niedbalej, jakby dając mi do zrozumienia, że sprawa jest czysta jak łąka, a ja się tylko niepotrzebnie czepiam niewinnego człowieka. Niewinny człowiek miał już dwa wyroki za kradzież. Paser-

stwa jednak dotąd mu nie udowodniono.

— Gdzie ją spotkałeś?

— W pasażu. Rano.

— Nic ci nie podpadło?

— A co? — zaniepokoił się. — Może małaletnia?

— Nie.

— Na twarzy nie pisało. Powiedziała, że przyjechała do stolicy pracować, a na razie nie ma gdzie spać. To jej pomogłem.

— A te fanty? — wskazałem na neseser. — Jak te było?

— Jej sprawa. Nie miała pieniędzy, to mnie grzecznie poprosiła.

— Nie podpadło ci, że sama nie chciała tego zrobić?

— A bo co? — zapytał bezczelnie. — Jak kobieta prosi mężczyznę...

— Słuchaj uważnie — powiedziałem ostro. — To są fanty z mokrej roboty.

— Bujda!

— Przekonasz się, jak posiedzisz. Za paserstwo, a może i za współudział. Kto tam wie, do czego jesteś zdolny.

— Nic nie wiem!

— Co robiłeś w nocy — tu podałem datę morderstwa — pomiędzy drugą a wpół do ósmej rano?

— Ja nic nie wiem! — Dopiero teraz zaczęło do niego docierać, że nie żartuje.

— Odpowiadaj!

— Ona się nazywa Danuta. To taka blondyna, chuda i nieduża...

— A mówiłeś, że czarniawa. Już kręcisz... Gdzie ją znajdziemy?

— Poszła „Pod Samowar“.

— Nie kłamiesz?

— Pan się przekona.

Wydalem odpowiednie rozkazy.

— Ja nie wiedziałem, że to fanty z mokrej roboty — powiedział tym razem spokojnie, nawet z pewną pokorą. — Ona mnie tak wykołowała...

— Pomogłeś jej... Paserstwo jest paserstwem.

— Kiedy ja nic nie wiedziałem!

— Dobra, to już inni wyjaśnią. Zabrać go!

Zostałem sam. Czytałem raz jeszcze notatki z tej rozmowy. Więc Danuta wzięła nie tylko spodnie, kamizelkę i neseser, ale także trochę innych rzeczy. Nie wiedzie-

liśmy o tym, bo nie kradła nachalnie, wyniosła tylko tyle, aby brak tych rzeczy nie rzucił się w oczy. No tak, lecz jak wyjaśnić w takim razie sprawę ubioru zdartego z zamordowanej? Ale czy taka młoda dziewczyna zdobyłaby się na rozebranie trupa? Dlaczego, na przykład, nie zdjęła z ręki Marii pierścionka? Może dlatego, że wyszła z jej mieszkania, gdy kobieta jeszcze żyła?

„Opiekun“ Danuty powiedział prawdę. Złapano dziewczynę, jak już mówiłem, na zapleczu domów towarowych „Centrum“.

3

Skonfrontowałem Danutę z redaktorem Majewskim. Siedziała nieco z boku, wolne krzesło przed moim biurkiem przeznaczyłem dla mężczyzny. Gdy wprowadzono Majewskiego, rozejrzał się po pokoju, a zobaczywszy dziewczynę, aż przystanął z wrażenia. Udawałem, że nic nie zauważyłem.

— Czy poznaje pan tę obywatelkę? — rzuciłem pytanie, gdy usiadł przede mną, a protokolant przygotował się do pracy.

— Tak. Poznaje.

— Czy to jest ta sama dziewczyna, którą zaprosił pan do towarzystwa w hallu „Continentalu“ owej nocy, kiedy zamordowano Marię Visconti?

— Tak. Maria mnie ignorowała. Chciałem w ten sposób zagrać jej na nerwach. Bez skutku zresztą.

— Na jakich warunkach zgodziła się panu towarzyszyć?

— Za dwieście złotych.

— On kłamie! — krzyknęła dziewczyna. — Ja i za brudasa nie poszłabym z takim brzuchatym! No powiedz, czy spałam z tobą? Co?

— Proszę nie odzywać się nie pytana — zwróciłem jej uwagę z całą surowością. — A pan niech nie przerywa zeznań.

— Istotnie nie spałem z tą panią — wyznał z trudem Majewski. — Ona została w domu Marii, gdy wyszedłem. Miała tam przenocować. Było już tak późno...

— Czy to prawda? — zwróciłem się do Danuty.

— Nie poszłam z nim — odparła.
— Kiedy widziała go pani po raz ostatni? — zadałem to jedno, najważniejsze pytanie udając, że nie przywiązuję do niego zbyt dużego znaczenia.

— Poszedł wściekły, jak go odstawiałam — zaśmiała się. — To już było na końcu. Najpierw zmył się do chaty taki tam technik, potem ta druga, co to mieszkała o piętro wyżej, i inżynierka, a mój grubasek razem z nimi.

— Razem z nimi czy po nich? — powtórzyłem.

— No, prawie razem. Chyba nawet było ich jeszcze widać w drzwiach, jak on ubrał się i poszedł sobie. Namawiał mnie, żebym pojechała z nim jego volvo. Chwalił się, że ma szwedzki wóz. Ale ja wiem, co są warci tacy starsi panowie jak on. A mnie chciało się spać.

— I zostaliście we dwie z gospodynią?

— We dwie? — powtórzyła. Popatrzyła na mnie spłoszonym wzrokiem i opuściła powieki. — Nie. Ta pani była okropnie pijana, to sobie poszłam.

— Czy nikt przed pani odejściem nie pukał do drzwi, nie odwiedził was w tym czasie?

— Nie. — Zastanowiła się. — To znaczy pukał ktoś, ale nie otwieraliśmy. Ta pani położyła się na tapczanie, a ja zaczęłam, aż ten ktoś odejdzie. Potem wyszłam. Nocowałam na Dworcu Głównym.

— A kiedy spotkała się pani z Antonim Peterą? — zapytałem. — Na drugi dzień rano czy wcześniej?

— Z jakim Peterą? Nie znam żadnego takiego — zaperzyła się.

— To jest ten, u którego pani spała.

— Ach, ten. To potem. Taki tam drań. Widziałam go pierwszy raz w życiu.

Przerwałem indagację i zwróciłem się do Majewskiego.

— Czy w tej sytuacji pragnie pan coś jeszcze dodać do swych zeznań?

— Nie, panie kapitanie.

— Jest pan wolny.

— Doprawdy? — ucieszył się.

— Prawie. Ostateczne słowo należy nie do mnie. Ale to już chyba nie potrwa zbyt długo — usmiechnąłem się.

— Dziękuję panu.

Kiedy opuścił nas, poprosiłem Danutę, aby przesiadła się na krzesło stojące naprzeciw mojego biurka. Uczyniła to bez oporu, założyła nogę na nogę z zamiarem kokietowania mnie, nie zdając sobie sprawy z tego, że jej chude, spiczaste kolana budzą coś w rodzaju współczucia. Zaczynałem wszystko rozumieć. Była ostatnim człowiekiem, który widział żywą Marię Visconti. Posiada jej zrabowane ubranie i dała swemu paserowi do sprzedania neseser z rzeczami skradzionymi z tamtego mieszkania. Są to przesłanki, z których wniosek był aż nazbyt oczywisty.

— Skąd ma pani spodnie i cały ten komplet? — wskazałem nieokreślonym ruchem dłoni jej odzienie.

— To? To jest moje.

— Ale przedtem należało do Marii Visconti.

— Dała mi. Sama mi dała. Żalowała mnie, widziała, że jestem źle ubrana. Była pijana. Chciała mi pomóc. No i podarowała.

— A walizkę?

— Walizkę też — Danuta rozumiała, że nie ma sensu tego ukrywać. Koncepcja, jaką przyjęła, była jej zdaniem nie do podważenia. — I sweterek, i trochę bielizny.

— Dobrze. A teraz proszę posłuchać uważnie — przestałem do niej mówić per pani.

— Niech pan mówi.

— Tej nocy zamordowano Marię Visconti. Ty ostatnia widziałaś ją żywą.

— No to co? — zaśmiała się. — Zresztą pan kłamie. Ostatni to był ten, co ją zabił.

— Ty byłaś ostatnia. Rano zjawił się w tym mieszkaniu ktoś, kto znalazł ją już nieżywą. Pomiędzy odejściem redaktora Majewskiego a przyjściem tamtego stało się to wszystko.

— To nieprawda!

— Za paznokciami zamordowanej odkryto drobiny skóry zdartej mordercy, kiedy się broniła.

Danuta drgnęła. Podniosła dłoń ku szyi, ale zatrzymała ją w pół drogi, dotykając serca. Zauważyłem, że ma na szyi zawiązaną apaszkę.

— A na pasku torebki, która leżała na podłodze, są odciski palców. Laboratorium już nad nimi pracuje. Ale ja wiem, czyje to są odciski. Twoje.

— Pan kłamie.

— To ty kłamiesz. Zdjęłaś z nieczywej jej ubiór, złapałaś nesesor stojący w korytarzu, wyjęłaś z szafy trochę bielizny, aby mieć na zmianę. Nie wzięłaś jednak pierścionka. Może nie chciał zejść, co? A łamać palców nie miałaś siły...

— Pan mi tego nie udowodni...

— Pomyślałaś sobie, że to będzie wyglądało jak wyczyn półgłówka. Jakby zrobił to ktoś nienormalny. Albo może coś tam rzeczywiście nie klapuje pod twoim dachem, co?

Wstała z krzesła oburzona, jakby chciała zrobić coś, zaprotestować, ale zaraz opadła bezsilnie z powrotem. Opuściła głowę.

— Pan mi tego nie udowodni. To nieprawda. Pan to sobie wymyślił. Nigdy nie chciałam zabić tej pani. Jestem słaba, o, niech pan popatrzy — wyciągnęła chuda rękę. — Ja nie umiem podnieść nic ciężkiego. Czy pan nie ulituje się nade mną?

Znikła bez śladu cała jej buta, ten cwaniacki język. Siedziała przede mną znowu jak mała bezbronna dziewczynka, chuchro, kurczak, patrzący mi prosto w oczy z niemałą prośbą o pomoc.

Przyjrzałem się jej dokładnie. Wiedziałem, że kłamie. Danuta była ostatnią osobą, która pozostała z Marią. Nikt więcej po niej nie przyszedł. To właśnie ona musiała być morderczynią. Tylko dlaczego to zrobiła? Z jakiej przyczyny, dla jakich korzyści?

Nie rozumiałem nic prócz tego, że po raz pierwszy w życiu zetknąłem się z kimś tak słabym, tak wzbudzającym współczucie, i tak okrutnym, bezlitosnym, zbrodniczym, a zarazem bezsensownym w działaniu. Bo wszystko to, co stało się owej nocy, musiało prędzej czy później wyjść na jaw. Przecież musieliśmy zacząć jej szukać. Musieliśmy odnaleźć skradzione modne spodnie Marii i ten nesesor. Poszukiwania dziewczyny trwałyby aż do skutku. Znaleźliśmy ją. Los zbyt wielu osób zależał bowiem od tego, co mogła

i co powinna nam wyjaśnić. Musieliśmy ją mieć.

A tymczasem dziewczyna po czterech dniach beztrzesko pojawiła się na ulicy. Nie zastanawiając się nad skutkami, nie uprzedzając o niczym swego „opiekuna“, kazała mu sprzedać ukradzione Marii rzeczy. I najważniejsze: paradowała po Warszawie w owych błyszczących, modnych, szerokich spodniach z zagranicznej dzianiny i w kamizeli do kompletu — nosząc na sobie dowód swego związku ze zbrodnią. Tylko to ją interesowało, czy się podobają. Nie myślała o nas, o tym, że będziemy jej szukać. Nie zastanawiała się, czy to, co zrobiła, jest złe, czy zasługuje na karę i potępienie. Nie bała się nosić ubrania zdjętego z zamordowanej przez siebie kobiety. Boże, czy po tym można jeszcze wierzyć w istnienie prawdziwych ludzi?

4

Wizja lokalna uczyniła na Danucie pewne wrażenie. Kiedy otworzyłem drzwi mieszkania Marii Visconti, zatrzymała się na moment, zbyt długi, aby mógł być przypadkowy. Nic nie mówiła, nie patrzyła na mnie, ale czułem to, wiedziałem, że się boi.

— Proszę pokazać, gdzie czekałaś na owe rzeczy i walizkę, którą ofiarowała ci Maria Visconti? — Udawałem, że przyjąłem jej wersję. — No, proszę...

Rozglądała się niepewnie po pokoju, wreszcie wskazała głęboki fotel pod stojącą lampą.

— Siedziałam, o tu.

— A gdzie stał nesesor?

— Tam — wyciągnęła palec w stronę korytarza.

— Proszę dokładnie.

— Za wieszakiem na rzeczy, w rogu.

— Dziękuję.

Przeszedłem się kilka razy, starannie wymijając miejsce, na którym musiała leżeć martwa gospodyni, obok tapczanu. Dziewczyna wodziła za mną oczyma. Dostrzegłem, że wzrokiem omija także tamten punkt.

— Proszę powiedzieć — stanąłem — skąd pani Visconti wyjęła bieliznę?

— Z szafy.

— A sweterek?

— Też z szafy.

— A na której półce leżała bielizna?

Popatrzyła na mnie ze złością, nie była tak głupia, aby nie zorientować się, do czego zmierzam.

— Niech pan jej zapyta. To ona wyjmowała te rzeczy — warknęła. Przez moment była znowu sobą, złym, bezwzględny, chytrym zwierzątkiem, które się broni przed atakiem.

— Ty doskonale wiesz, że bielizna leży na drugiej i trzeciej półce. A sweterki na czwartej. Prawda?

Milczała. Spuściła oczy, spojrzała na tamto miejsce i prędko zwróciła wzrok w kąt pokoju.

—ładne masz spodnie — rzuciłem od niechcenia.

— Prawda? — ucieszyła się, ale zaraz przycichła zdając sobie sprawę z tego, gdzie się znajduje.

— Zawsze chciałaś mieć takie, co?

Milczała. Nie patrzyła na mnie.

— Chciałaś mieć wszystko, co jest ładne i modne. Zaraz. Bez czekania. Prawda?

Nie odzywała się. Zobaczyłem, że lekko pobladła. Zaciśnęła palce na kolanach.

— Inni całe lata pracują, uczą się, studiuja, żeby coś osiągnąć, czegoś się doroobić, a ty chciałaś mieć wszystko tak bez wysiłku? Sprzedawałaś siebie na godziny. A teraz sprzedawałaś życie. Za te błyszczące spodnie.

Podniosła oczy, puste, bez dna. Nie płakała. Prawdziwe łzy chyba już dawno, bardzo dawno wyschły w jej oczach.

— Chciałaś je mieć, co? — spytałem.

— Tak — odparła szeptem. — Zawsze chciałam mieć takie spodnie.

— Kiedy to ci przyszło do głowy?

— Co?

— Że mogłabyś je sobie wziąć.

— Kiedy zobaczyłam tę panią. Ale ja nie chciałam jej zabić!

— Mów dalej.

— Kombinowałam, żeby dowiedzieć się, gdzie mieszka.

— Przecież poszliście do niej.

— Tak. Ale przedtem tego nie wiedziałam. No i wtedy pomyślałam, że los sam chce mi dopomóc.

— Co dalej?

— Chciałam zostać razem z tą panią w domu. Była pijana, wiedziałam, że szybko zaśnie.

— A redaktor Majewski?

— Nie poszłam z nim. Dlatego mu odmówiłam. — Przerwała na moment. — Za dwieście złotych poszłabym z każdym, ale te spodnie były więcej warte, pan rozumie?

To przeliczenie odjęło mi mowę. Przez chwilę siedziałem bez ruchu. Ale nie musiałem zadawać jej pytań. Coś się w niej rozwiązało, nie umiała już zapanować nad potokiem słów. Gadała bez przerwy, szybko, jakby chciała zrzucić z siebie cały ciężar tych zdarzeń.

— Czekałam, aż ta pani pójdzie spać. Dopiero wtedy chciałam zabrać te spodnie. Ja już je w myślach nosiłam na sobie. Widziałam, że były w sam raz jak szyte na mnie. Zadawałabym szyku, wszyscy oglądaliby się na ulicy. Żadna z dziewczyn nie miała takich. Były mi potrzebne, żebym mogła stać się kimś innym, żeby wpuszczali mnie do lepszych lokali. Nikt nie miałby prawa mnie wyrzucać ani zaczepiać. Ja musiałam mieć te spodnie.

Teraz ja milczałem. Czekałem na dalszy ciąg.

— Ja widziałam tylko, jak błyszczy ta dzianina, na nic innego nie patrzyłam. Nie mogłam się doczekać, kiedy gospodyni pójdzie spać. A ona, ta pani, siedziała na tapczanie i kiwała się na boki. Mamrotała coś do siebie nie po polsku. A potem wstała, wzięła torebkę z wieszaka i chciała wyjść. Moje spodnie chciały wyjść.

— Dokąd pragnęła pójść Maria Visconti?

— Nie wiem. Powiedziała, że na górę czy coś w tym rodzaju.

— Słyszałaś pewnie imię Eryk?

— Nie wiem. Może tak... Nie mogłam pozwolić, żeby wyszła.

Zatrzymała swą opowieść. Teraz nadchodziło najtrudniejsze. Otarłem dłonią czoło. Było mokre. Danuta mówiła swo-

bodnie, jakby wyzwolona. Nie myślała o tym, co ją czeka.

— Ja nie jestem silna. Ale wypilam trochę wódki. I byłam zła, że mój plan się nie uda. Złapałam za torebkę, była na takim długim pasku, przewieszona przez ramię. No więc złapałam za pasek i pociągnęłam.

— Maria Visconti upadła — dopowiedziałem.

— Tak.

— Gdzie?

— W korytarzu. Nie miała siły wstać, leżała nieruchomo.

— Mów dalej.

— Złapałam ją za włosy i parę razy uderzyłam jej głową o podłogę.

— Żył?

— Przeciągnęłam ją do pokoju, położyłam koło tapczanu, żeby trochę odpoczęła. Ale wtedy pomyślałam, że muszę się jak najprędzej zmyć, bo jak się jednak obudzi, to wszystkim rozpowie o tym, co zrobiłam, bo przecież mnie pamiętała. No i dlatego — na wszelki wypadek — stuknęłam jej głową jeszcze o podłogę. Ale tylko raz...

Dziewczyna opowiadała o swej zbrodni w sposób beznamiętny, tak jak wspomina się rozmowę z koleżanką albo opisuje oglądany wczoraj film. Nawet dla mnie, który niejedno już widziałem i słyszałem, życie za spodnie z błyszczącej dzianiny to była cena, nie mieszcząca się w żadnej znanej mi dotąd taryfie przestępstw. Morderstwo nie opłacało się. Nie miało sensu. Było absurdem.

Wyobrażałem sobie tę dziewczynę, biegnącą za uciekającymi jej, wymarzonymi, modnymi spodniami; szczupła, zwinna jak fretka, która drobnymi, białymi ząbkami zadaje śmierć. Ale śmierć zadana przez zwierzę jest czymś całkowicie odmiennym od śmierci, sprowadzonej na niewinnego człowieka ludzką ręką.

— A pierścionek? Dlaczego go nie zdjęłaś?

— Nie chciał zejść. Miała opuchnięte palce — odparła tak, jakby mówiła o zeszlorocznym śniegu.

Było coś chorobliwie płytkiego w sposobie myślenia tej dziewczyny, było też

pod tym płytkim dnem coś przerażająco grząskiego, brudnego, czarnego. Ile czasu minie, zanim znów będę mógł myśleć bez zgrozy o szczupłych dziewczętach, jakich wiele spotykam co dzień na ulicach mojego miasta?

— Dlaczego to zrobiłaś? — zapytałem, mimo iż wszystko już wiedziałem. Po prostu nie potrafiłem pogodzić się z tym, że dziewczyna była tak kompletnie pozbawiona poczucia hierarchii wartości. Dla niej przedmiot, rzecz i życie ludzkie miały tę samą wagę. A życie nawet mniejszą, jak się okazało.

— Co pan chce? — popatrzyła na mnie. — Ja już wszystko powiedziałam. Mam to powtórzyć jeszcze raz?

— Nie — przerwałem. — Nie trzeba. Powtórzysz to już sądowi.

5

— Ty zbaraniałeś czy jak? — wołał szef. — To już sprawa międzynarodowa, a ty mi ze spodniami!

— Przyznała się — przypomniałem.

— No i cóż z tego? Gdzie dowody?

Z otwartej teczki wyjąłem protokół laboratorium. Podałem staremu.

Naskórek, który pozostał pod paznokciami denatki, pochodził z zadrapań, jakie Danuta miała na szyi. Ofiara broniła się przed śmiercią.

— No, jasne. A co masz jeszcze?

Wyjąłem drugi arkusz.

— Odciski palców na pasku torebki i na pierścionku denatki są identyczne z odciskami tej dziewczyny.

— I co jeszcze?

— Początkowo wszystko wskazywało na to, że głównym motywem morderstwa jest zazdrość. Najbardziej podejrzany wydawał się fiński student, Eryk.

— To wiem. Umiem czytać, nawet twoje notatki.

— Był w mieszkaniu denatki, podniósł ją z podłogi, ale uciekł nie zawiadamiając nikogo o zbrodni. Bał się.

— Jasne. Każdy by się bał. Bo najtrudniej udowodnić, że się nic nie zrobiło, mój złoty. Wal dalej.

— Dalej zastosowałem metodę eliminacji. Jeśli nie brać pod uwagę roli Eryka, co się zresztą później wyjaśniło, tylko Danuta okazała się osobą, która ostatnia była w mieszkaniu Marii Visconti za jej życia i pierwsza po jej śmierci. Jednym słowem to ona dokonała zbrodni.

— A skradzione rzeczy? Tego nie liczysz, synu? To także dowód.

— Liczę.

— No to licz. Na awans. Albo przynajmniej na pochwałę.

— Dziękuję.

— Za moich czasów — rozmarzył się stary — za moich młodych lat w takiej chwili żołnierz, to znaczy milicjant, podrywał się na baczność i wołał: „Ku chwale ojczyzny, obywatelu pułkowniku!”

— Ku chwale ojczyzny, obywatelu pułkowniku! — przyjąłem postawę na baczność.

— Spokojnie, kapitanie. Jeszcze nie ma do czego na baczność stawać i meldować. Zobacz się. Wiesz, władza sprawiedliwa, ale nierychliwa.

— Dziękuję za pamięć. Czy mogę się odmeldować?

— Jasne! Czołem!

6

Na ogół, gdy zamykałem śledztwo w jakiejś sprawie, kiedy gotowe akta przekazywałem prokuraturze, czułem się tak, jakbym odwalił kawał trudnej, ale dobrej roboty. Mimo iż nikomu o tym nie mówiłem, bywałem zwyczajnie, po ludzku zadowolony. W końcu kładłem przecież kres jakiemuś przestępstwu, przerywałem pasmo dalszych nieszczęść. W sposób mało dla innych widoczny budowałem razem ze swymi współpracownikami, z milicjantami w mym mieście, w moim kraju sieć ochronną, przez którą nie powinien przedostać się niebezpieczny zbrodniarz i która powinna zatrzymać amatorów cudzej własności, awanturników, wszystkich, co

nie szanują prawa, chcieliby wkraczać w życie innych ludzi, w życie społeczeństwa, burząc je i niszcząc. Zawsze dotąd przeciwnikami bywali ludzie, których siła, przemyślność, nawet zatwardziałość w postępowaniu czyniła z nich wrogów, jakich pokonanie dawało powód do dumy. W moim zawodzie to też się liczy. Czasami największą radością była sama pogoń za sprawcą zbrodni, nie ta fizyczna, lecz po prostu podobna do pogoni analiza śladów. jakie — zbierane skrzętnie przez cały nasz aparat, badane w laboratoriach, dyskutowane przez ekspertów — stawały się przesłankami, schodek po schodku prowadzącymi wzwyż, do celu. Ale liczyła się także własna myśl, intuicja, inicjatywa. To, kto kogo wyprzedzi, miało niezwykle ważne znaczenie. Od tego zależyło nie tylko, czy „prawo zawsze znaczy prawo, a sprawiedliwość — sprawiedliwość“, lecz jakże często także życie człowieka, które w tym wyścigu udało się ocalić.

Ale ten właśnie tom akt zamykałem z uczuciem pustki i lęku. Tylko kilka razy w życiu dane mi było zetknąć się ze zbrodnią, której sprawca nosił w sobie znamiona psychicznej choroby. Jeszcze rzadziej miałem do czynienia z ludźmi całkowicie przez wychowanie i poziom umysłu pozbawionymi rozeznania między dobrem a złem. Lecz nigdy dotąd nie była to ładna, młoda kobieta, której wygląd zdawał się zaprzeczać wszystkiemu, co zaszło, jej okrutnej roli. Gdybym nie wiedział, nie był pewny...

Przygryzłem wargi. Zamknąłem z trzaskiem tekę. Jak wieko trumny — pomyślałem.

Wstałem zza biurka, podszedłem do okna. Za szybami zobaczyłem warszawską ulicę, zatłoczoną, jasną, pełną hałasu pędzących aut, zgrzytających tramwajów. Otworzyłem okno na oścież. Żeby wpadł tutaj ów gwar, aby ogarnął mnie, przeniknął, połączył z tymi, którzy tam, w dole, śpieszyli do swoich spraw, najważniejszych na świecie.

Okładkę projektował: MARIAN STACHURSKI

Redaktor: DANUTA LUKAWSKA
Redaktor techniczny: BARBARA MUSZYŃSKA
Korektorzy: JOLANTA ROSOSIŃSKA
BARBARA SIENNICKA

Państwowe Wydawnictwo „Iskry”, Warszawa 1974 r.
Wydanie I. Nakład 100 000 + 275 egz. Ark. wyd. 4.1.
Ark. druk. 2.5. Papier druk. mat. Kl. VII 60 g.
70 × 100. Druk ukończono w kwietniu 1974 roku.
Lubelskie Zakł. Graf. Zam. 3061. Cena zł 8.— W-109

Zmieszczot R

Ewa wzywa 07... Ewa wzywa 07..



W latach 1971-74 w serii „Ewa wzywa 07” ukazały się:

27. Krzysztof Opatowski — Złoty podział
28. Barbara Gordon — Bez aty
29. Andrzej Szczypiorski — Wyspa czterech lotrów
30. Wanda Falkowska — Kim jesteś?
31. Aleksander Ścibor-Rylski — Złote koło
32. Zygmunt Zeydler Zborowski — Prawda rodzi nienawidź
33. Zygmunt Sztaba — To nie było samobójstwo
34. Walerian Drohiczyń — Feralny wtorek
35. Ewa Szczypiorska — Prezent dla Barbary
36. Aleksander Minkowski — Kiedy wracają umarli
37. Danuta Frey-Majewska — Maski śmierci
38. Władysław Krupiński — Tajemnica gotyckiej komnaty
39. Jerzy Siewierski — Zaproszenie do podróży
40. Witold Szyndler — Ekspedycja
41. Jerzy Gieraltowski — Grobowiec rodziny von Bausch
42. Artur Morena — Arlekin
43. Helena Sekula — Ślad rękawiczki
44. Julitta Mikulska — Kłanika z mosiądzu
45. Maciej Z. Bordowicz — Toccata
46. Zygmunt Zeydler Zborowski — Czwartek, godzina 22
47. Jerzy Janicki — Amerykańska guma do żucia „Pinky”
48. Ewa Wielicka — Zanm zapadnie wyrok
49. Zenon Borkowski — Zemsta kusi nad grobem
50. Marian Butrym — Umarłym wstęp wzbroniony
51. Zygmunt Zeydler Zborowski — Dziewczyna w męskiej koszulce
52. Helena Sekula — Kartka z notesu
53. Maciej Z. Bordowicz — Fikcja
54. Andrzej Zarzycki — Dimanche znaczy niedziela
55. Jerzy Edgley — Gang i dziewczyna
56. Ryszard Szczerba — Alibi
57. Zenon Borkowski — Śmierć przeszła obok
58. Władysław Krupiński — Celny strzał
59. Janusz Osęka — Śmierć w Złobie Kirkora
60. Jerzy Laniewski — Prześwietlone zdjęcie
61. Danuta Frey — Pensjonat „Pod Złotym Lwem”
62. Witold Szyndler — Spokojne uzdrowisko
63. Marian Butrym — Horoskop
64. Krystyn Ziemiński — Rubinowy ślad
65. Kazimierz Sławiński — Zbrodnia rodzi zbrodnie